



Christine Thompson



Miłość na Majorce

1.

Sally Thompson siedziała okrakiem na czerwonej desce surfingowej i obserwowała morze. Czekwała na wysoką falę, która zaniósłaby ją z powrotem na brzeg, wypatrywała potężnych bałwanów, których wody pękałyby i pieniały się.

Morze dokoła pełne było miłośników surfingu. Oni także czekali na falę. Ale dzień był spokojny, ani śladu przewalających się fal znanych z prospektów o Kalifornii. Sally mimo to cieszyła się wodą, plażą i wspaniałym powietrzem.

Po przepięknie błękitnym niebie krążyły mewy. Zabiegane życie z centrum Los Angeles wydawało się bardzo, bardzo odległe. Teraz, w środku tygodnia, niewiele się działo na plaży w Malibou Beach.

Sally nie mogła się dość nasycić tymi godzinami nad morzem. Tutaj czuła się szczęśliwa i wolna.

W głębi duszy boczyła się trochę na Neptuna, boga morza, ponieważ fale, które nadsyłał, wciąż nie były zbyt wysokie.

Wreszcie jej cierpliwość została nagrodzona: nadeszło kilka wspaniałych fal przybojowych. Sally uklękła na desce, gotowa do rozkoszowania się szalonym pędem wody. Skierowała deskę przodem do plaży, a olbrzymie fale poniosły ją za sobą. W czasie tej opętańczej jazdy zgrabnie potrafiła utrzymać równowagę.

Co za uczucie! Niepowtarzalne! W płytkiej wodzie blisko brzegu pozwoliła sobie na eleganckie wywrócenie się. Chwyciła deskę przymocowaną długą linką do kostki nogi i pobiegła na plażę, gdzie już czekał jej przyjaciel, Joe.

- Ależ to było cudowne - powitał Sally. - To była największa fala w ciągu całego dnia. Szkoda, że ją przegapiłem.

- Bywa, gdy się człowiek wyleguje na plaży - zaśmiała się Sally.

- Wam dziewczynom, dobrze się śmiać. Znacznie dłużej możecie wytrzymać w zimnej wodzie niż mężczyźni.

- Mam nadzieję, że nie jest to aluzja do większej warstwy tłuszczu, którą my podobno mamy? - Sally oparła ręce na biodrach. - Muszę przyznać, że jesteś prawdziwym gentlemanem...

- Jak się patrzy na ciebie, to aż trudno uwierzyć, że naprawdę istniejesz. -

Spojrzenie Joego prześlizgiwało się z zachwytem po jej ciele.

Sally była wysoka i szczupła jak modelka. Ruchy miała wysportowane i sprężyste, niejednemu przywodziły na myśl porównanie jej do drapieżnej kotki.

- Poruszasz się z gracją dzikiego zwierzęcia - stwierdził Joe i tym razem.

- O jakim zwierzęciu myślisz? O nosorożcu czy trójpalczastym leniwcu?

- Raczej o tygryscy albo drapieżnej kotce. - W jego uśmiechu krył się cień rozczarowania.

Sally cieszyły pełne zachwyty spojrzenia Joego i jego komplementy. Ale zawsze miała przy tym coś w rodzaju wyrzutów sumienia. Doskonale wiedziała, jak bardzo ją lubił. Ona natomiast nie czuła nic podobnego w stosunku do niego, chociaż z przyjemnością spędzała czas w jego towarzystwie. Był dla niej raczej jak brat.

Suszając swe kasztanowe włosy, spoglądała na niego z uśmiechem.

Joe zdawał się być znowu udobruchany, gdy widział ciepłe błyski w jej dużych brązowych oczach.

Mam nadzieję, że nigdy mnie nie spyta, czemu nie odwzajemniam jego uczuć - pomyślała Sally. Właściwie sama nie wiedziała tego dobrze.

- Już czas - powiedziała, spoglądając na wodoszczelny zegarek do nurkowania. - Absolutnie nie mogę się spóźnić do profesora Parkera. Wcześniej muszę jeszcze umyć głowę.

- Nie ma strachu. - Joe założył koszulkę i przejechał grzebieniem po gęstych włosach.

Daremny trud, bo przekorne kosmyki natychmiast opadały mu na czoło, nadając twarzy chłopca sympatyczny młody wygląd.

- Mamy jeszcze dużo czasu. Teraz nie ma ruchu na ulicach - uspokoił Sally.

Zanim poszli na parking, zjedli szybko hamburgery w małym snack-barze. W kilka minut zamocowali deski surfingowe na dachu chevroleta Joego i pojechali do miasta.

- Po co właściwie spotykasz się dziś z profesorem? - chciał wiedzieć Joe.

Sally westchnęła: - Muszę się wreszcie zdecydować, o czym będę pisać pracę magisterską. Jasne, że chciałabym znaleźć coś, co mnie naprawdę zainteresuje. Ale większość tematów dotyczących morza była już kiedyś opracowana.

- Nigdy nie pojme, jak doszłaś akurat do oceanografii - Joe zaśmiał się potrząsając głową. - Moim zdaniem jesteś urodzoną nauczycielką sportu.

- Miło, że ty to mówisz. Ale to nieprawda.

- Jak to? Przy twoich predyspozycjach sportowych?

- Ale ja jestem taką prawdziwą żabą. Nadaję się tylko do tego, co ma jakikolwiek związek z wodą.

- Fakt, że w sportach wodnych jesteś fantastyczna - rozmarzył się Joe. - Poza olimpijczykami nie znam nikogo, kto tak pływa i nurkuje jak ty. Tak samo dobrze obchodzisz się z łodziami, jak z nartami wodnymi. Najtrudniejsze rzeczy wydają się dziecinnie łatwe, kiedy ty je robisz.

Sally potrząsnęła głową.

- Od urodzenia mieszkałam nad morzem. Mój ojciec był olimpijczykiem w pływaniu. Woda była zawsze dla mnie drugim domem. Nigdy jednak nie zapomnę, jak niebezpieczna może być dla ludzi.

Joe przytaknął dziewczynie i atmosfera zrobiła się nagle poważna. Nie minął jeszcze rok, jak Sally straciła rodziców - na morzu. Brali udział w regatach żeglarskich, gdy nagle zaskoczyła ich burza. Wiele jachtów się przewróciło, kilka osób straciło życie.

Śmierć doświadczonych żeglarzy wstrząsnęła światem sportowym. Było to kolejne potwierdzenie bezradności człowieka wobec mocy żywiołu.

- Mimo to jestem pewien, że byłabyś dobrą nauczycielką sportu - powiedział po chwili Joe.

- Nie. Jestem dobra tylko na morzu i w basenie. Przy piłce na przykład jestem kompletna dętka. Tenis jest tak samo nudny jak siatkówka. Inne dzieci grały w piłkę, a ja nurkowałam w morzu i szukałam koralu. Nie znoszę też gimnastyki, chociaż wiem, jak dobrze wpływa na całe ciało. Nie, Joe, na suchym gruncie nie byłabym dobrą nauczycielką sportu. Poza tym, zupełnie nie mam na to ochoty. Oceanografia bardziej odpowiada moim zainteresowaniom.

- Stara oszustka z ciebie - zaśmiał się Joe. - Szukasz pretekstów, żeby być maksymalnie często nad morzem.

Sally też się roześmiała: - Zgoda, przejrzałeś mnie. Przyznaję się do wszystkiego. - Popatrzyła na chłopca z przebiegłą miną.

Każde spojrzenie na niebo przypominało o smogu, który znowu wisiał nad miastem.

- Szanowni państwo - dowcipkował Joe - założcie, proszę, maski gazowe.

- Widzisz - zauważyła Sally - to przecież dobrze, że próbuję ułożyć własne życie poza miastem, na świeżym powietrzu.

- Masz oczywiście rację. Życzyłbym sobie, żeby i ja mógł tak zrobić. Jako księgowy jestem skazany na spędzenie życia w zatrutym mieście. Obojętne, czy mi się to podoba, czy nie.

- Ale na weekend możesz przecież wyjechać.

- Mógłbym mieszkać w małym miasteczku nad morzem. I dla dzieci byłoby to lepsze.

- Owszem. Ale to wszystko to daleka przyszłość. Mężczyzna w twoim wieku powinien mieć coś lepszego do roboty, niż myśleć o małżeństwie, o osiedleniu się na przedmieściu i założeniu rodziny.

Sally czuła, że w głębi duszy Joe nie pragnął niczego bardziej niż realizacji takich właśnie planów. Najlepiej z nią w roli żony i matki. Z góry powinna postawić tamę tak absurdalnym życzeniom.

- Chyba masz rację - odpowiedział Joe, patrząc na nią. - Ale miłość niekoniecznie idzie w parze z rozsądkiem. Jak cię dopadnie, to nie jesteś w stanie nic zrobić, nawet jeśli moment nie jest najbardziej odpowiedni.

- Możliwe. Mimo to jestem przekonana, że ludzie zaoszczędziliby sobie wielu kłopotów, gdyby tak bardzo nie spieszyli się ze ślubem. Ja w każdym razie mocno postanowiłam sobie nie pakować się za szybko w to wszystko.

Gdy dojechali do czapy wiszącej nad centrum miasta, ruch był większy, a widoczność zupełnie do niczego.

Sally dobrze знаła istotę smogu. Zimne masy powietrza znad Pacyfiku w zetknięciu z ciepłym powietrzem znad lądu wytwarzały wznoszące się prądy. Wraz z nimi do atmosfery unosiły się spaliny samochodów. Światło słoneczne zmieniało je w cząsteczki, które zagęszczając się tworzyły smog.

Czasem, gdy Sally myślała o zanieczyszczeniu środowiska, ogarniało ją prawdziwe przygnębienie. Chociaż ludzie coś tam robili, by przeciwdziałać zatruciu, i byli coraz bardziej świadomi niebezpieczeństwa, obawiała się, że może już być za późno.

- Podwiozę cię do domu - Joe przerwał jej tok smutnych myśli.

- Dziękuję.

- Pójdziemy coś zjeść dziś wieczorem?

Sally zawahała się.

- Jeśli mam być szczerą, wolałabym nic nie planować na dzisiejszy wieczór.

Spotkanie z profesorem Parkerem jest dla mnie bardzo ważne. A wiesz dobrze, jaki potrafi być nudny i uciążliwy.

- Czy ma to znaczyć, że to jemu chcesz pozostawić zakończenie rozmowy?

- Tak. On za grosz nie ma wyczucia czasu. Boję się, że nie dokończymy rozmowy, a ja będę musiała powiedzieć - przykro mi, panie profesorze, ale jestem umówiona.

Mógłby sobie pomyśleć, że tak naprawdę to ja nie jestem tym zainteresowana.

- Chcesz zrobić na nim dobre wrażenie, tak?

- Oczywiście. Jestem przekonana, że to nie będzie bez znaczenia przy ocenie mojej pracy.

- Może i masz rację. Zostanę w domu. Zadzwoń do mnie, gdy skończysz, dobrze?

Jeśli oczywiście nie będzie zbyt późno.

- Dobrze. Ale nie padnij z głodu czekając na mój telefon.

- Nie ma obawy.

Sally wysiadła przed domem. Chwyła torbę z siedzenia, czerwoną deskę surfingową z dachu i wsadziła to wszystko do windy. Teraz miała ochotę na gorącą kąpiel.

- Idzie surf-Sally - powiedział któryś z dwóch młodych mężczyzn wychodzących akurat z windy.

- Cześć - powiedziała chłodno.

Obaj mężczyźni szeptali coś na jej temat, obejrzel się za nią i roześmiali. Ale Sally nic sobie z tego nie robiła. Większość jej przyjaciół mieszkała dalej, a z innymi lokatorami domu wolała raczej być na dystans. Niektórzy młodzi mężczyźni interesowali się nią bardzo, jak ci dwaj, których spotkała na dole. Możliwe, że była uważana za zarozumiałą, ale to jej nie przeszkadzało.

Oczywiście, że Sally czuła się czasem samotna, przede wszystkim po śmierci rodziców. Ale też trudno było spodziewać się czegoś innego.

Wiedziała, że sama musi się z tym uporać. Nie było w jej stylu przestawanie przez cały dzień z ludźmi tylko po to, żeby nie zostać sama. Mieszkała na czwartym piętrze. Właśnie zamierzała ustawić deskę surfingową, gdy zadzwonił telefon.

To był profesor Parker.

- Czy jesteśmy umówieni na dzisiaj wieczór? - zapytał.

- Jak to? Oczywiście. - Sally była zaskoczona.

- Tak też myślałem. A na którą się umawialiśmy?

- Na siódmą.

- Tak? No to do zobaczenia. - Słuchawka po tamtej stronie opadła na widełki.

Sally uśmiechnęła się mimo woli. Dobrze, że profesor był tak znakomitym naukowcem. Gdyby nie był taki dobry w tym, co robił, miałby przy swoim roztargnieniu na pewno ciężkie życie. Nawet duże przedsiębiorstwa zasięgały jego opinii i zawsze dobrze na tym wychodziły. Profesor miał opinię człowieka rzeczowego i nieprzekupnego. Ale z terminami spotkań miewał nieustanne kłopoty. Odnosiło się wrażenie, że żyje według innego czasu niż reszta ludzi. Przy jego roztargnieniu dużym problemem było trzymanie się rozkładu dnia.

Sally wypłukała sól z włosów, nawilżyła swe opalone ciało emulsją.

Potem położyła się na pół godziny. Chociaż bardzo lubiła jazdę na falach, była to jednak ciężka praca fizyczna.

Po tym krótkim odpoczynku Sally włożyła bawełnianą granatową sukienkę. Dobrała do tego skromny naszyjnik z pereł. Postanowiła zabrać z sobą granatowy sweter na wypadek, gdyby wieczór był chłodny.

Rzuciła kontrolne spojrzenie do dużego lustra na drzwiach łazienki. Była zadowolona ze swojego wyglądu.

Profesor Parker wielokrotnie podkreślał, że nie lubi kobiet w spodniach. Sally była nawet w stanie go zrozumieć. Szczególnie gdy pomyślała o kilku wybitnie niezgrabnych dziewczynach z college'u.

Wiele osób było zdania, że profesorowie nie powinni decydować o ich ubiorze i zachowaniu. Sally jednak uważała, że wobec napiętej sytuacji na rynku pracy nawet takie drugorzędne sprawy mogą mieć wpływ na dobre zakończenie.

Czy nie powinna użyć trochę perfum? Zawahała się trzymając w dłoni małą flaszeczkę. Jeszcze przyjdzie profesorowi Parkerowi na myśl, że chciała go uwieść. Ale kilka kropli nie może przecież zaszkodzić.

Sally nacisnęła guzik windy i zjechała do podziemnego garażu, gdzie stała jej mała honda.

Po dwudziestu minutach dojechała do wspaniale położonego w zdziczałym co nieco ogrodzie domu profesora w San Fernando Valley.

- Czekałem już na panią - profesor powitał ją wesoło i szeroko otworzył drzwi.

Sally z trudem powstrzymała uśmiech. Szła za profesorem do gabinetu przez mieszkanie całkowicie wypełnione książkami. Pokój aż po sufit szczelnie założony był papierami i książkami we wszystkich możliwych formatach.

- Cóż więc mogę zrobić dla pani? - spytał profesor, wskazując Sally jedyne wolne krzesło w pokoju.

Przesunął kilka stosów książek na bok, by i sobie zrobić trochę miejsca.

- Ma pani ochotę na kieliszek wina? - profesor spojrział na Sally ponad szklami okularów do czytania. - Ale niech pani o tym nie opowiada. Napiszą potem w waszych gazetach studenckich, że „starszy pan profesor traktuje młodą studentkę likierem”. Ale żarty na bok. Mam wspaniałego bernkastelera, nie za słodki, dobrze schłodzony, tak że nie przyprawi nikogo o skręt kiszek.

- Chętnie. - Sally nie mogła zrozumieć, dlaczego profesor nie pił nigdy wina kalifornijskiego, które jej zdaniem było znakomite.

Obserwowała go, gdy nalewał do kieliszków. Nie miał jeszcze pięćdziesiątki, ale stwarzał pozory, że jest znacznie starszy. Może jako ochrona przed studentkami chętnymi do zamiężpójścia?

- Co więc mogę zrobić dla pani? - spytał ponownie.

- Chodzi o mój egzamin - Sally pomogła pamięci profesora. - Powinniśmy znaleźć odpowiedni temat.

- Faktycznie. Przecież wiedziałem. Co sądzi pani na przykład o mewach? Nie, to nie jest temat dla pani. To takie nudne ptaki. A co by pani powiedziała o algach?

- Algi? Sama nie wiem.

- Drobne żyjątka pływające po wodzie, są pokarmem wielorybów, występują w milionach rodzajów.

- Myślę, że są sympatyczne.

- Sympatyczne. Mówi pani „sympatyczne”? Nie brzmi to naukowo, Sally. -

Profesor zmarszczył czoło z niedowierzaniem. - Czy chce mnie pani nabrać?

- Może trochę. - Sally zaczerwieniła się.

- Co sądzi pani o delfinach? Chociaż nie, bada je już marynarka. Niewiele nowego uda się nam dodać. A może interesuje się pani morszczyzną?

Sally wyprostowała się.

- Myślałam raczej o czymś praktycznym, mniej naukowym.

- Na przykład?

- Też nie wiem. Miałam nadzieję, że pan mi pomoże.

- Oczywiście, jest to również moim zadaniem. Może powie mi pani, czym się głównie interesuje?

Nagle Sally pomyślała o drodze z plaży do domu i katastrofach ekologicznych w związku z wyciekami ropy w ostatnich miesiącach.

- Zanieczyszczenie środowiska - powiedziała bez wahania.

Naraz w profesora wstąpiło życie.

- Mamy z sobą wiele wspólnego. - Wyglądał na zachwyconego. - Ja również jestem zdania, że ludziom grozi niebezpieczeństwo z powodu zanieczyszczenia środowiska.

- W drodze do miasta znowu zastanawiałam się nad smogiem. Jeżeli któregoś dnia nie unicestwimy się sami bombą atomową, to na pewno zniszczymy ziemię przez coraz większe zanieczyszczenie środowiska.

- Straszne, prawda?

- Potrzebujemy nie tylko inicjatyw obywatelskich, ale normalnej gałęzi przemysłu produkującego na rzecz ochrony środowiska.

- Podzielam pani zdanie. Jak sobie uzmysłuję, że sławna świątynia Partenon w Grecji więcej ucierpiała przez ostatnie dwadzieścia lat niż za całe dwa tysiące... Kwaśne deszcze zniszczą ją zupełnie. Sally, ma pani rację. Badania musimy prowadzić w tym kierunku. Coś mi przyszło na myśl.

Profesor wstał i ostrożnie wśród stosów książek podszedł do ściany. Wisiała tam zrolowana mapa. Gdy profesor rozwiązał tasiemki i z rozmachem rozwinął mapę, uniósł się obłok kurzu.

- Niedawno rozmawiałem z kimś na ten temat. Wie pani, co jest na tej mapie?

- Morze Śródziemne.

- W porządku. Zdziwiłaby się pani wiedząc, ilu moich studentów nie ma o tym pojęcia.

Sally uśmiechnęła się skromnie.

- Wie pani z pewnością - kontynuował profesor Parker - że warunki ekologiczne są zbliżone w całym basenie Morza Śródziemnego. Oczywiście, że występują pewne różnice. Proszę mi je szybko wymienić.

Sally od lat znała profesora. Wielu studentów nie znosiło, gdy dosłownie zasypywał ich wiedzą, a potem, zupełnie niespodziewanie, zaczynał odpytywać. Sally traktowała to jako wyzwanie.

- W okolicach Marsylii nie ma na przykład wielbłądów. W Grecji produkuje się dużo oliwy z oliwek, gdy tymczasem w okolicach Algieru prawie w ogóle...

- Droga Sally, czekam, aż przejdzie pani wreszcie do sedna sprawy - niecierpliwie przerwał jej profesor. - Jak dotąd wymieniła pani same różnice. Ale niech mi pani powie, co wspólnego mają wszystkie punkty wokół Morza Śródziemnego?

- Oczywiście morze.

- Oczywiście. Właśnie o tym myślałem. Niestety Morze Śródziemne jest obecnie na etapie zamieniania się w olbrzymią kloakę. We Włoszech, w Rimini, wysyła się o świcie młodych chłopców, by oczyszczali wodę z największych brudów. Turyści pływający tam w sezonie nie mają nawet pojęcia, w jakim brudzie się kąpią. Identycznie sprawa wygląda w Hiszpanii, na przykład w Marabelli.

- Co tak bardzo zanieczyszcza Morze Śródziemne? - spytała Sally.

- Ścieki, odpady przemysłowe i ropa, którą statki mimo zakazu spuszczały do morza.

- Ależ to wszystko można by kontrolować.

- Oczywiście, można by. Ciekawe, że niektóre obszary są mocniej zanieczyszczone niż inne.

Profesor wziął z biurka długą linijkę i wskazał na Marsylię i południową Francję:

- Oto najgorszy obszar w całym basenie Morza Śródziemnego. W Neapolu również nie jest lepiej, to jeden z najbrudniejszych portów. Już ktoś kiedyś powiedział: „zobaczyć Neapol i umrzeć”. Niewątpliwie myślał wówczas o milszych rzeczach niż cholera i zatruta woda. Ale w tych katastrofalnych okolicznościach owo znane powiedzenie teraz bardziej niż kiedykolwiek trafia w sedno.

- Czy już w ogóle nie ma czystych stref nad Morzem Śródziemnym? - zapytała Sally.

- Ależ są, na przykład tutaj. - Profesor wskazał na okolice na wschód od Barcelony.

- Czy to nie...?

- Tak, to Baleary.

Sally chciała właściwie powiedzieć, że to Sardynia, i była zadowolona, że w porę przerwała zdanie.

- Dokładnie tutaj - powiedział profesor i ponownie wskazał na mapę - są względnie czyste wybrzeża. Tu leży mała wioska Cala Ratjada, dokładnie w północno-zachodniej części Majorki, największej wyspy na Balearach. Inne wyspy to Minorka, Formentera i Ibiza. Przy pięknej pogodzie z Majorki można zobaczyć sąsiednią Minorkę. Chroni ona wybrzeże i Cala Ratjada przed głównymi prądami Morza Śródziemnego.

- Był pan tam, profesorze?

- Nie, ale byli moi przyjaciele i opowiadali.

- A co to wszystko ma wspólnego ze sprawą zanieczyszczenia środowiska? - spytała dziewczyna marszcząc czoło.

- Sam już nie wiem. Nie, moment, wiem już. Chciałbym, żeby sporządziła mi pani profil ekologiczny wybrzeża. Chcę wiedzieć, ile ślimaków żyje na metrze kwadratowym, jakie gatunki ryb łowią tubylcy, w jakich ilościach. Jakie są ptaki morskie... Rozumie pani, o co chodzi?

- To tak prosto brzmi.

- Najlepsze pomysły są zwykle proste. Taka praca byłaby dobrym środkiem kontrolnym, pozwalającym sprawdzać zanieczyszczenie Morza Śródziemnego.

- A czy Francuzi nie zrobili już czegoś takiego?

- Ach, oni tylko narzekają i krzyczą, ale nie robią niczego konkretnego. Francuzi uchodzą za naród kulturalny, lecz z ochroną środowiska albo higieną nie kochają się zanadto. Mieszkałem kiedyś w hotelu we Francji, w którym było dwadzieścia pokoi gościnnych i tylko jedna łazienka.

- Ale jaka będzie korzyść dla nas, Amerykanów, z badania cudzych wód?

- Możemy wyciągać wnioski dla naszych własnych mórz. A może będziemy mogli skłonić państwa z basenu Morza Śródziemnego do poprawy ich systemu ścieków.

Ostatecznie morze będzie źródłem żywności i energii w przyszłości. Przypomni sobie pani kiedyś moje słowa! Ale abstrahując od tego: powiedziała pani, że szuka zadania praktycznego. Na Majorce mogłaby pani wykonać właśnie pracę praktyczną.

- Właściwie chętnie pojechałabym do Cala Ratjada. - Sally w zamyśleniu gryzła dolną wargę.

- No więc? Co pani w tym przeszkadza?

- Zawsze to samo.

- Pieniądze? To nie będzie drogie. Czy ma pani do dyspozycji trochę pieniędzy?

- Trochę. A jeszcze trochę mam na widoku, gdy uregulowane będą sprawy spadkowe po moim ojcu. Ale dużo chyba tego nie będzie.

- O ile wiem, w tym roku sprawa stypendium nie wygląda dobrze. Podczas badań będzie pani musiała podjąć jakąś dodatkową pracę.

Sally zmarszczyła czoło.

- Chętnie... Ale to nie takie proste znaleźć pracę za granicą.

- Ten kłopot proszę zostawić mnie. Zatelefonuję do mego przyjaciela, Sama Hoffmana. To ten, który opowiadał mi o wyspie.

- Ekolog?

- Przedsiębiorca. Ma hotel w Cala Ratjada. Może on będzie miał pracę dla pani.

- Będę szczerą. W żadnym wypadku nie chcę pracować jako kelnerka. Dzieci też nie będę pilnować. Nerwy muszę zachować do innych spraw.

Profesor surowo spojrzał na Sally. - Proszę poczekać, co powie Sam. Zawsze może pani odmówić.

- Ma pan rację. Przepraszam, że mam takie wymagania.

Profesor Parker wykręcił numer. Sam Hoffman natychmiast się zgłosił.

- Halo, Sam. Tu Parker. Mam u siebie studentkę, która szuka pracy na Majorce. Chce badać morze w okolicy Cala Ratjada... Oczywiście, że był to mój pomysł... Tak, potrzebuje trochę pieniędzy, by tam żyć. Jaką pracę? Moment, sekundkę.

Profesor zakrył dłonią słuchawkę i spojrzał pytająco na Sally.

- Może praca biurowa. - Sally myślała gorączkowo. - Przede wszystkim praca, która zostawi mi wystarczająco dużo czasu na studia. Mogłabym dawać lekcje angielskiego albo jazdy na nartach wodnych.

Profesor przekazał jej życzenia i odłożył słuchawkę.

- Powiedział, że zadzwoni do swego partnera na Majorce. Teraz zaczyna się szczyt sezonu. Hoffman prosił, aby jutro, koło południa, wpadła pani do niego.

- Dziękuję za starania. Mogę przynajmniej spróbować.

Profesor zapisał na kartce adres Hoffmana i kilka uwag, jak tam najlepiej dojechać.

- Jeżeli się uda, uprości to znacznie całą sprawę - powiedział i podsunął Sally kartkę. - Jeżeli nie, musimy wymyślić coś innego.

- Będę pana informować na bieżąco. Jeszcze raz bardzo dziękuję.

Sally pożegnała się.

W drodze do domu przemyślała sobie wszystko na spokojnie. To niepowtarzalna okazja, żeby zdobyć tytuł magisterski w tak fascynujący sposób. Kto wie, może to będzie początek dalszej, ciekawej pracy? Jeśli się nie uda, będzie musiała przeznaczyć na ten cel swoje skromne oszczędności. Ale lepiej by było, gdyby dostała pracę na Majorce.

Sally zamykała właśnie za sobą drzwi mieszkania, gdy zadzwieczał telefon.

Dzwonił Joe.

- Halo, Sally! Dobrze poszło?

- Jeszcze jak! Zaproponował mi supertemat. Ale wiąże się z tym pewien kłopot.

Muszę znaleźć pracę na Majorce.

- Majorka? Gdzie to jest?

- Koło wybrzeży Hiszpanii.

- Myślisz o Maderze?

- Nie, Majorka. Największa wyspa na Balearach. Z Barcelony płynie się chyba z dzień statkiem.

- Już wiem, o co chodzi. - Z głosu Joe wynikało, że nie jest zbyt zachwycony. - To koło Ibizy. Jadłaś już coś? - zmienił nagle temat.

- Nie, na śmierć zapomniałam.

- Może poszlibyśmy razem coś przekąsić?

- Wspaniale. Gdzie się spotkamy?

- W tej włoskiej restauracji, gdzie byliśmy ostatnio.

Przy kolacji Sally dokładniej zrelacjonowała rozmowę z profesorem Parkerem.

- Będzie mi ciebie brakować - powiedział smutno Joe, gdy wysłuchał jej planów.

- Ale ja przecież wrócę. Zachowujesz się, jakbym leciała na Księżyc. Poza tym to jeszcze nic pewnego. Jeżeli nie dostanę tam pracy, to i tak będę musiała tutaj się za czymś rozejrzeć.

- Rób, co musisz. Ja w każdym razie będę czekał na ciebie.

Sally westchnęła. Joe był jednym z najsympatyczniejszych chłopców, jakich знаła. Bystrość umysłu nie była jednak jego mocną stroną. Czasem zachowywał się, jakby żył na Księżycu. Jego ciekawość świata przejawiała się dotychczas w jedynej podróży do Meksyku w któryś weekend. Ale to też przed laty.

Dawno temu powiedział, że chciałby zobaczyć Nowy Jork. Ale nie zrobił nic w tym kierunku. Najlepiej czuł się w domu. Sally miała wrażenie, że byłaby w stanie przepowiedzieć, jak będzie wyglądało jego życie, dzień po dniu, rok po roku. Najgorsze, co mogłoby spotkać Joe, to praca zmuszająca go do częstych wyjazdów. Sally bardzo plastycznie wyobrażała sobie, że Joe jedzie pełen najgorszych przeczuć z lotniska do hotelu Hiltona. Uspokaja się dopiero, gdy stwierdza, że za granicą też są artykuły cywilizacji, jak kostki lodu i jego ukochane piwo w butelkach, dzięki którym można odgrodzić się od wszystkiego, co obce.

Jak dojdzie do trzydziestki, będzie na pewno miał brzuszec. Już teraz padał zmęczony na piasek po raptem jednej godzinie pływania na falach. Sally natomiast nigdy nie miała dość. Ale cóż można oczekiwać od człowieka urodzonego pod znakiem Raka?

Nagle Sally spostrzegła, że przez cały czas uśmiecha się z sympatią do Joe.

- O co chodzi? - spytał oczekująco.

- O nic. Po prostu pomyślałam sobie, że cię bardzo lubię. To wszystko.

- Sally, to cudownie. Już dawno chciałem ci powiedzieć, że szaleję za tobą. Na pewno to wyczułaś.

Dziewczyna stwierdziła, że lepiej będzie uznać, iż Joe przesadza. Czowała jednak, że on naprawdę był w niej zakochany i mówił zupełnie poważnie. Ale w końcu nie było to jej zmartwienie.

Zawsze byli dobrymi przyjaciółmi. To, że przyjaźń przerodziła się u niego w coś więcej, nie zależało już od Sally. Nie chciała zaplątać się w jakąś miłość tylko przez poczucie winy czy fałszywe współczucie.

- Poczekaj, kiedyś znowu popływamy razem przy zachodzie słońca - powiedziała radośnie.

Jej uśmiech był zaraźliwy, Joe też się uśmiechnął. Wprawdzie w jego oczach pozostał cień smutku, ale Sally nic nie mogła na to poradzić.

Gdy następnego dnia Sally jechała do Sama Hoffmana, co chwilę wyprzedzały ją luksusowe samochody. Profesor opisał jej dom przyjaciela: okropny, kiczowaty, pomalowany jak lody truskawkowe na wściekły czerwony kolor, w ogrodzie olbrzymia kopia Wenus z Milo.

Wytwornie ubrani ludzie w zagranicznych limuzynach ze zdziwieniem spoglądali na małą hondę Sally.

Pewnie jadą do luksusowej restauracji w Beverly Hills - pomyślała Sally. Wszyscy ci elegancy ludzie wyglądali na aktorów, którzy po długiej nocy teraz rozpoczynali nowy dzień.

Domu Sama Hoffmana rzeczywiście nie można było nie zauważyć. Faktycznie miał kolor lodów truskawkowych, a Wenus z Milo była przynajmniej trzy razy większa od oryginału, który Sally знаła ze swych podróży.

Odźwierny zaprowadził ją do dużego i porządnie posprzątanego gabinetu. Sam Hoffman czekał już na nią przy biurku. Miał na sobie szare spodnie i koszulę z krótkim rękawem.

- Dzień dobry, Sally.

Przez moment dziewczynie wydawało się, że Sam wstanie i poda jej rękę. Ale nie zrobił tego. Poprawił na nosie okulary słoneczne i popatrzył na nią wzrokiem - krótkowidza.

Pan Hoffman był mężczyzną w średnim wieku. Był trochę za tęgi i ewidentnie zajęty myślami, jak by tu zrobić więcej pieniędzy. Sally dziwiła się w duchu, że profesor Parker ma coś wspólnego z takim człowiekiem.

- Szuka pani pracy na Majorce, prawda?

- Tak, bardzo by mi to pomogło. Studiuję oceanografię...

- Wiem. Bardzo ciekawy kierunek. Jak pani z pewnością wiadomo, część hotelu w Cala Ratjada należy do mnie. Sześćdziesiąt na czterdzieści, o ile pani rozumie. Robert Haley ma czterdzieści procent, ja resztę. On zarządza hotelem i robi dobrą robotę. Chociaż ostatnio odnoszę wrażenie, że jest bardzo zestresowany. Dzwoniłem do niego rano. O tej porze roku jest tam strasznie dużo pracy. To nie takie proste znaleźć dobrych pracowników. Rozumie pani, o czym mówię?

- Niezupełnie. Czy pan Haley sam ściele łóżka?

Sam roześmiał się: - Nie, oczywiście, że nie. Ale jest za wszystko odpowiedzialny. Wracając jednak do pani. Jest pewna dziedzina, gdzie mogłaby pani być pomocna. Chodzi o organizację wolnego czasu gości hotelowych. Starsi ludzie szukają zazwyczaj ciszy i wypoczynku, ale młodzi i dzieci mają nadmiar energii. Urlop jest okazją, żeby nauczyć się pływać, nurkować albo jeździć na nartach wodnych. Mam rację?

- Oczywiście - zgodziła się Sally.

- Dlatego też w naszych folderach proponujemy gościom naukę pływania, żeglowania, nurkowania i tak dalej. Ale do tej pory nie wychodziło to najlepiej. Potrzebujemy kogoś, kto by się tym zajął. Co pani na to?

- To dokładnie to, w czym pomagałam ojcu, kiedy żył.

Sam uderzył ręką w stół. - Naprawdę? W hotelu?

- Tak. Sprawiało mi to dużo radości, bo sama uwielbiam sporty wodne.

- Myśli więc pani, że będzie w stanie zrobić tam coś sensownego?

- Zależy, ile czasu będę musiała na to poświęcić. No i oczywiście, ile dostanę. Nie potrzebuję dużo. Ale muszę mieć możliwość studiowania.

- Wiem, profesor mi to mówił.

Sam zapoznał Sally ze szczegółami jej przyszłej pracy. Pensja nie była rewelacyjna, ale wyżywienie i mieszkanie były za darmo. To rozwiązywało największy problem.

- Zgoda. Warunki są do przyjęcia - odpowiedziała po chwili namysłu. - A co z kosztami podróży?

- O tym w ogóle nie myślałem. Profesor powiedział mi, że pływa pani jak ryba i wspaniale jeździ na nartach wodnych. Musi się to wszystko udać! Opłacimy pani podróż.

- Wspaniale! Na pewno dogadam się i z panem Haleym.

- Proszę mówić do niego Robert. Ale niech pani nigdy nie mówi Bob. Nie cierpi tego. Jest Australijczykiem. Lubi pani Australijczyków?

- Nie znam żadnego. Są bardzo angielscy w sposobie bycia, prawda?

- Są bardzo punktualni i można na nich polegać. Ale proszę pozwolić, pokażę pani jej przyszłe miejsce pracy.

Przez moment Sally nie wiedziała, o co chodzi. Sam wstał i zaprowadził ją do pokoju, w którym stało wideo.

- Robert przysłał mi ten film w zeszłym tygodniu. Przedstawia hotel i otoczenie. Proszę usiąść wygodnie.

Sally usadowiła się w miękkim fotelu. Sam nastawił wideo.

Najpierw ukazał się widok hotelu z daleka. Budynek w kształcie wydłużonego dużego L, olśniewająco biały, stał dokładnie w miejscu, gdzie przepiękna plaża przechodziła w zielony las piniowy, mniej niż sto metrów od morza.

Duży basen wyłożony turkusowymi kafelkami połyskiwał obiecująco w słońcu. Głęboką wodę oddzielały czerwone boje. Na tarasie, pod kolorowymi parasolami, siedzieli goście hotelowi. Kelnerzy w białych marynarkach uwijali się między stolikami.

- Przynajmniej będzie pani miała ogólne pojęcie, jak to wszystko wygląda - powiedział Sam.

- Czy te łodzie z tyłu należą do hotelu?

- Oczywiście. Goście mogą wypożyczać sobie małe żaglówki. A motorówka przeznaczona jest do nart wodnych.

- Czy basen jest tylko dla gości hotelowych?

- Nie znam aż tak dokładnie szczegółów. Proszę zapytać Roberta. Ostatecznie bierze pieniądze za to, żeby wiedzieć wszystko o hotelu. Ja z trudnością rozróżniam hotel od sklepu z komputerami.

Film przedstawiał wnętrze hotelu.

- To jadalnia. Elegancka, ale i swobodna, jeżeli rozumie pani, co mam na myśli. A tam jest kafeteria. Tam można coś zjeść i wypić również w kostiumie kąpielowym. To jeden z pokoi. Prawda, że przyjemny? A to hall wejściowy. Kilku kelnerów z Hiszpanii, a tam Robert. Wygląda, jakby szedł pływać. Czyli nie jest taki znowu przepracowany. Ja nie mam czasu na pływanie.

Robert Haley uśmiechnął się do kamery i poszedł na basen. Włosy miał z natury jasne, ale słońce jeszcze mocniej je wybieliło. Był wysoki i szczupły. Stojąc na brzegu basenu jeszcze raz popatrzył w kamerę, uśmiechnął się i pokazał cudownie białe zęby.

- Tak wygląda pani przyszedł szef. Czy nadal chce pani tę pracę?

- Wygląda wspaniale.

Sally starała się, by zabrzmiało to możliwie obojętnie. Absolutnie nie chciała pokazać Samowi, że była wręcz zafascynowana Robertem!

Był dokładnie typem mężczyzny, o jakim zawsze marzyła, jakiego szukała, ale nigdy nie znalazła. Ani na ulicy, ani na plaży, w college'u czy na dyskotecie. Miał w sobie coś, co przypominało jej ojca.

Sam wstał i podszedł do wideo.

- Mogę jeszcze raz zobaczyć ten film? Chciałabym dokładniej obejrzeć basen i te małe żaglówki.

- Nie ma problemu - Sam nacisnął przycisk i przewinął film.

Na ekranie znowu pojawił się hotel i wreszcie on - Robert Haley.

- Dziękuję. - Sally nie przyszedł na myśl żaden rozsądny pretekst, żeby obejrzeć film w zwolnionym tempie. - Basen jest wystarczająco duży. A i motorówka powinna mieć odpowiednią ilość koni mechanicznych.

Sam uśmiechnął się: - Profesor Parker mówił mi, że jest pani szalona na punkcie wszystkiego, co ma związek z wodą. Nazwał panią rusalką Posejdona. To wykształcony człowiek. Chce pani tę pracę, czy nie?

Po tym, co zahaczyła, Sally byłaby gotowa płynąć o własnych siłach, żeby tylko dotrzeć na Majorkę. Bez przerwy myślała o fascynującym Robertcie, ale próbowała skupić się na innych rzeczach dotyczących jej przyszłej pracy.

- Czy będę miała wolny jeden dzień w tygodniu?

- Oczywiście. Niedzielę. Wiele osób wyjeżdża, inni przyjeżdżają. Właśnie w niedzielę jest najmniej pracy w hotelu. Ale i w sobotę nie ma wielkiego ruchu. Ludzie robią zakupy, pakują się albo świętują.

Sally odetchnęła.

- Wspaniale. W tygodniu będę bardzo wczesnie wstawać. Ale i wieczorem nikt nie będzie przecież jeździć na nartach wodnych. Powinno mi wystarczyć czasu na badania.

- W tych dniach będę rozmawiał z Robertem. Mam mu powiedzieć, że pani przyjedzie?

Sally skinęła głową.

- Tak, podoba mi się ta praca. Jestem panu bardzo wdzięczna.

- Życzę szczęścia - powiedział Sam i odprowadził gościa do drzwi.

2.

Przed wyjazdem Sally musiała załatwić masę spraw. Robert Haley chciał, żeby przyjechała możliwie szybko na Majorce.

Spędzała teraz dużo czasu u profesora Parkera, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o badaniach, które miała przeprowadzać.

Profesor dał jej pokazną listę z najważniejszą literaturą. Długo trwało, zanim udało jej się zgromadzić wszystkie książki.

- To wspaniała okazja, żeby zebrać wiadomości o tym rejonie - cieszył się profesor.

- Mam nadzieję, że później uda nam się sensownie spożytkować te informacje.

- Oczywiście, że tak. Mam już podobne studia z innych wybrzeży. Wreszcie będzie można przeprowadzić granicę między tym, co jest normalne, a tym, co już niebezpieczne. Dzięki tym wynikom będziemy mogli wywierać nacisk na miejscowe władze, żeby wreszcie zaczęły coś robić dla ochrony oceanów.

Joe zmartwił się, gdy usłyszał, że Sally podtrzymuje decyzję. Sally obiecała pisać i zapewniała, że przecież nie zniknie z tego świata.

- Joe, rozumiesz sam, że to coś, co muszę zrobić - powiedziała mu na pożegnanie na lotnisku. Ewidentnie cały czas nie mógł zrozumieć, jak można być tak zwariowanym, żeby badać morze w jakimś obcym kraju, gdy wręcz pod nosem ma się ocean.

- Do końca życia miałabym do siebie pretensje, gdybym nie wykorzystała tej jedynej w swoim rodzaju okazji.

- Rozumiem - wybąknął Joe, ale Sally wiedziała, że nic nie rozumiał.

Pierwsza część lotu prowadziła do Londynu. Gdy lecieli nad biegunem północnym, Sally wypatrywała gór lodowych, igloo i uciekających niedźwiedzi, ale nie widziała nic, tylko olbrzymią białoszarą, monotonną pustynię lodową.

W Londynie przesiadła się na inny samolot. Już po dwóch godzinach zobaczyła pod sobą wspaniałe niebieskie Morze Śródziemne.

Była jeden jedyny raz w Hiszpanii, razem z ojcem. Sally dobrze wszystko pamiętała.

Natychmiast po przyjeździe zauważyła typowo hiszpański czar. Na wzgórzach za lotniskiem połyskiwała srebrzysta zieleń drzew oliwkowych i świętojańskich. Również na wyspie wsie miały ten sam charakterystyczny hiszpański wygląd. Samochody na ulicach były wręcz maleńkie w porównaniu z amerykańskimi krążownikami szos.

Przy okienku odprawy celnej Sally zauważyła mężczyznę z niewielką tabliczką, na której widniało „Sally Thompson”.

- To ja - powiedziała do niego.

- Och señorita! Witamy na Majorce! Mam dla pani taksówkę. Jestem od señor Haleya.

Wziął bagaż dziewczyny i poszedł przodem. Sally wiedziała, że do Cala Ratjada jedzie się ponad półtorej godziny, dlatego też nie spodziewała się, żeby ktoś z hotelu czekał na nią.

- Pojedziemy przez centrum Palmy? - spytała, gdy już usadowiła się wygodnie na tylnym siedzeniu.

- Nie, señorita. Jedziemy w innym kierunku.

- Kiedy dojedziemy do hotelu?

- Za półtorej godziny.

Sally pomyślała, że to wystarczająco dużo czasu, żeby się odprężyć. Im bardziej oddalali się od lotniska, tym mniejszy był ruch na ulicy. Po krótkim czasie zobaczyli nawet osły na zakurzonej drodze.

Krajobraz zmieniał się. Bagniste pastwiska ustąpiły miejsca suchym zarośłom i zielonym pniom. Potem przejeżdżali przez pola uprawne. Wioski miały przedpotopowy wygląd i wręcz zmuszały samochody do wolnej jazdy. Ulice były jak wymarłe. Ludzie pracowali na polach lub w licznych hotelach w Palmie i okolicy. Panował upał. Mimo to było przyjemnie, bo powietrze było suche i czyste.

- Zaraz będziemy na miejscu - powiedział kierowca, gdy przejeżdżali koło czegoś w rodzaju twierdzy.

Kiedy wyjechali na górę, zobaczyli przed sobą rozciągające się przed nimi morze. Sally była zaskoczona tym, jak inaczej wyglądało tu wybrzeże. Cudowna piaszczysta plaża, popękane skały, a miejscami ostro do morza wchodząca wyspa.

Największe wrażenie na dziewczynie wywarło stare centrum Cala Ratjada, w którym zachowało się wiele wiekowych domów. Większość hoteli skrywała się za piniami i dębami korkowymi, podobnie jak i hotel, do którego właśnie dojechali.

Kierowca pomógł Sally wnieść bagaże do hallu. Dumnie odsunął proponowany napiwek.

- Gracias - podziękowała mu za pomoc.

Było wczesne popołudnie, w hotelu panował spokój. Sally rozejrzała się dokoła wypatrując Roberta Haleya.

Goście hotelowi korzystali ze słońca na plaży i obok basenu. Kilka łodzi kołysało się na falach. Niebiańskiego spokoju nie zakłócały również radiodbiorniki.

Sally dowiedziała się później, że obsługa hotelowa prosiła gości, by nie zabierali z sobą tranzystorów i magnetofonów na plażę i na basen.

Po chwili do Sally podeszła ciemnowłosa dziewczyna. Miała na sobie elegancką bawełnianą bluzę, mocno wyciętą z obu stron. Była prawie w wieku Sally, ale sprawiała wrażenie osoby chłodnej i z dystansem.

- Pani Sally Thompson, prawda? - powitała dziewczynę stojącą niezdecydowanie przy walizkach.

- Tak, to ja.

- Judy Robinson.

- Miło mi panią poznać.

- Cieszymy się bardzo, że wreszcie pani do nas dotarła. Co prawda w tej chwili jest bardzo spokojnie, ale wszystkie pokoje są zarezerwowane i mamy masę pracy.

- A pani czym się tutaj zajmuje? - spytała Sally z zainteresowaniem.

- Jestem odpowiedzialna za dobre samopoczucie naszych gości. Do mnie także kierują prośby i skargi.

Judy miała w sobie coś odpychającego, co wprowadziło Sally w zakłopotanie. Jednocześnie była bardzo uprzejma i miła.

- Teraz pokażę pani pokój - zaproponowała Judy. - Potem będzie pani mogła przedstawić się Robertowi. W tej chwili go nie ma, ale wkrótce powinien wrócić.

W tym momencie zjawił się bagażowy i zajął się walizkami Sally.

- Na pewno pokój spodoba się pani - powiedziała Judy, wchodząc do windy. - Niestety, tak jak wszystkie pokoje dla obsługi, wychodzi na tył domu, bez widoku na morze. Pokoje od morza zarezerwowane są dla gości, którzy za nie płacą.

- Czy cała obsługa hotelu mieszka tutaj?

Judy skinęła głową: - Większość. Jedyne miejscowi są poza hotelem. Robert mieszka w apartamencie na dachu hotelu.

Nagle Sally uświadomiła sobie, że właściwie nic nie wie o swoim przyszłym szefie.

- A jego rodzina też tu mieszka? - spytała ostrożnie.

- Rodzina? On nie jest żonaty. - Powiedziała Judy ku dużej uldze Sally.

Pokój pokazany przez Judy był wystarczająco duży i znajdowało się w nim wszystko, co Sally potrzebowała. Z okna rozciągał się wspaniały widok na zalesione wzgórza.

- Cudownie! - westchnęła Sally.

- Pokój nie jest zbyt słoneczny, ale mam nadzieję, że będzie się tu pani dobrze czuła.

- Chciałabym się teraz rozpakować i przebrać. Gdzie będę mogła znaleźć Roberta?

Sally starała się, by jej głos zabrzmiał zupełnie obojętnie, tym bardziej, że miała wrażenie, iż Judy mówiła o Robertcie Haleyu w bardzo zaborczym tonie.

- W biurze koło wejścia. Mój gabinet jest dokładnie obok jego. Może pani skontaktować się z nami również przez telefon wewnętrzny.

Sally podziękowała i wzięła się za rozpakowywanie. Po tylu godzinach spędzonych w samolocie marzyła o odświeżającej kąpieli.

Założyła białą spódnicę i jedwabną niebieską bluzkę, do tego zwykle białe sandały.

Przestronna szafa pomieściła całą jej garderobę. Książki, mikroskop, chemikalia i probówki ułożyła na regałach. Gdy tak rozkładała swoje rzeczy, opanowało ją uczucie lekkiego niepokoju. Właściwie sama nie wiedziała, czy bała się nowej, nie znanej pracy, czy spotkania z Robertem, z człowiekiem, który zajmował wiele miejsca w jej rozmyślaniach. Ale czas na Majorce na pewno nie będzie się dłużył. Sally postanowiła sobie, że naprawdę intensywnie wykorzysta ten pobyt.

Z okna widziała parking dla obsługi i dostawców. Miała właśnie zamiar wyjść z pokoju i przedstawić się Robertowi Haleyowi, gdy spostrzegła podjeżdżający wóz sportowy. Zaciekawiona zdjęła z półki lornetkę pożyczoną od profesora Parkera i skierowała ją na samochód.

Przecucie jej nie myliło. Wóz prowadził Robert Haley. Wyglądał dokładnie tak jak na filmie, który widziała. Miał na sobie niebieską koszulę i białe spodnie.

Przypadkiem popatrzył na jej okno. Sally natychmiast odsunęła się i odłożyła lornetkę. Ale przecież to niemożliwe, żeby ją zauważył!

Sally ponownie wzięła lornetkę i obserwowała, jak powoli przechodził do tylnego wejścia. Z bijącym sercem usiadła na łóżku i czekała. Chciała dać mu kilka minut na odświeżenie się. Potem wstała i poszła do windy.

Ruch na dole był teraz znacznie większy. Słońce stało nisko i wielu gości schodziło z plaży na herbatę. Świeża bryza wiała przez szeroko otwarte drzwi wejściowe. Pachniało słońcem, urlopem i olejkiem do opalania.

Sally bez trudu znalazła gabinet Roberta obok recepcji. Zapukała energicznie i czekała.

- Proszę wejść! - usłyszała ciepły, głęboki głos.

Sally weszła i znalazła się w przyjemnie urządzonej biurze z widokiem na plażę i basen. Robert Haley wstał i podał jej z uśmiechem rękę. Sally uznała, że wygląda znacznie atrakcyjniej niż na filmie. Był wysoki, opalony i miał piwne oczy. Mógł mieć trochę ponad trzydziestkę.

- Witamy w nowej pracy!

- Dziękuję. Cieszę się, że dostałam tę pracę, mister Haley.

- Proszę mówić do mnie Robert. Żyjemy tu na luzie.

Sally spostrzegła, że wzrok Roberta zatrzymał się na jej piersiach zaznaczających się pod niebieskim jedwabiem.

- Jestem z Kalifornii. Tamtejsi ludzie też nie są sztywni.

- To się dobrze składa.

Sally zauważyła, że mówił z akcentem australijskim. Ta lekko obca wymowa brzmiała jej zdaniem bardzo sympatycznie.

- Mówiono mi o pani w samych superlatywach - ciągnął Robert. - I to nie tylko na temat pani wspaniałego wyglądu. Moim zdaniem ma pani nie tylko śliczną buzię, ale jest pani też wspaniałą sportsmenką.

Sally była zaskoczona tą bezpośredniością. Amerykańscy mężczyźni nie dążą do celu w taki sposób. Próbują być uprzejmi i mili w stosunku do kobiet. Czyżby Robert należał do gatunku supermenów, którzy uważają, że nie można się im oprzeć?

Sally postanowiła nie osądzać go za szybko. Może chciał w ten nieco zuchwały sposób pomóc jej w przełamaniu pierwszych lodów? Najlepiej będzie odpowiedzieć mu w tym samym stylu.

- Wie pan, w zasadzie jestem hochsztaplerką. Taka znowu wysportowana to ja nie jestem. Nie umiem nawet grać w tenisa. Mój ojciec zdobył kiedyś na olimpiadzie złoty medal w pływaniu, a ja od dziecka mieszkałam nad wodą. To oczywiście owocuje.

- Ze mną było podobnie. Wyrósłem nad morzem. Musiałem wyjechać ze względu na mój zawód. Po śmierci ojca poszedłem w jego ślady i przejąłem jego firmę. Mam teraz pięć hoteli w Australii i jeden w Anglii. Ten tutaj należy do mnie w czterdziestu procentach.

- Sam Hoffman mówił mi, że to pan jest tutaj odpowiedzialny za wszystko.

- To prawda. Pracuję jako manager i uczę się. Muszę wiedzieć, co od czego zależy.

- Brzmi to rozsądnie.

- A jeżeli chodzi o panią, to cieszę się, że wreszcie jest pani tutaj. Pilnie potrzebujemy kogoś, kto zajmie się sportem w naszym hotelu. Łodzie i stroje do nurkowania muszą być utrzymane w należyтым porządku. A pani powinna służyć pomocą lub udzielać lekcji pływania, nurkowania, żeglowania i jazdy na nartach wodnych.

Sally kiwnęła głową ze zrozumieniem.

- Ważne jest, by goście dobrze się bawili i byli zadowoleni. Konkurencja w tej branży jest duża. Zależy nam bardzo, żeby latem wszystkie pokoje były wynajęte. Jeżeli goście będą się u nas dobrze czuli, to może przyjadą też poza sezonem. Niektórzy przyjeżdżają do nas dwa razy w roku. Turyści powoli odkrywają, że wiosną i jesienią jest równie pięknie.

- Powinni przyjechać do Kalifornii. Tam słońce świeci nawet w zimie.

- Albo do Australii. A tak na marginesie. Słyszałem, że chce pani zdobyć Nobla w oceanografii.

Sally uśmiechnęła się. - Najpierw muszę zrobić magisterium.

- Przez cały dzień będzie pani na pewno zajęta. Mam nadzieję, że nie zaniedba pani przez nas studiów.

- Nie ma obawy. Zorganizuję sobie wszystko dobrze.

- Dni są bardzo długie. To też pewien plus.

- A ja wstaję zawsze bardzo wcześnie - dodała Sally.

- Czy równie wcześnie kładzie się pani spać?

- Tak jest najzdrowiej, prawda?

Robert uśmiechnął się chytrze.

- Ja również staram się prowadzić zdrowy tryb życia. Czasem muszę siedzieć dłużej ze względu na gości. Ale czegoż się nie robi dla swej pracy!

- Rozumiem, co pan ma na myśli. - Sally stwierdziła z zaskoczeniem, że jest zazdrosna.

Skierowała wzrok na jego wypielęgnowane ręce. Były szczupłe i silne. Jakim właściwie on jest człowiekiem?

Jedno wiedziała na pewno. Robert Haley był inny niż mężczyźni, których znała. Był najbardziej atrakcyjnym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała.

- Proszę pozwolić ze mną. Pokażę pani basen i w ogóle wszystko, co tu jest - zaproponował.

Nacisnął przycisk na biurku i powiedział do sekretarki: - Oprowadzę Sally Thompson po hotelu. Za pół godziny będę z powrotem.

Poszli przez hall wejściowy na basen. Kilkoro gości było w wodzie, kilkoro pływało na materacach dmuchanych.

- Kto czyści basen? - chciała wiedzieć Sally.

- Zatrudniłem do tego jedną osobę. Zna się na filtrach, wie, co trzeba dodawać do wody.

Sally pociągnęła nosem.

- Za dużo chloru. Będę musiała zadbać o to.

- Fantastycznie. Wielu rodziców pytało, czy jest możliwość nauki pływania dla dzieci.

- Uważa pan, że powinnam się tym zająć?

- Jeżeli jest pani w stanie. Ma pani już lekcje nurkowania, żeglowania i jazdy na nartach wodnych.

- Dlaczego nie? - odpowiedziała Sally pogodnie. - Jeżeli jest aż tylu chętnych, to mogę zrobić lekcje w grupach. Większość osób i tak woli taką formę.

- A jak to wygląda z nauką pływania małych dzieci?

- Małe dzieci jest bardzo łatwo uczyć. Nie boją się wody. Ja...

- Sally, jest pani prawdziwym skarbem. Do tego jest pani tak wielostronna!

Robert przedstawił ją młodemu mężczyźnie. Pepe był kąpielowym. Potem zeszli na plażę. Robert obejrzał się i powiedział poufałym tonem:

- Mówiąc między nami, Pepe nie ma żadnych kwalifikacji na ratownika. Ważne, żeby dawał ludziom poczucie pewności. Gdyby ktoś miał problemy na basenie, to mam nadzieję, że Pepe byłby w stanie pomóc. Ale nie wiem, co by się stało, gdyby pomoc była potrzebna na morzu. Ta myśl nie daje mi spokoju. Pijany gość mógłby nam bardzo zaszkodzić.

- Morze wygląda na bardzo spokojne. Ale przypuszczam, że to właśnie jest zdradliwe.

Robert skinął głową: - Szczególnie tam przy cyplu. Jest oddalony od plaży niecałe sto metrów, ale są tam trudne do ustalenia prądy. Kazałem nawet ustawić tablicę ostrzegawczą.

- A jeżeli kogoś wciągnie?

- To trzeba będzie podpłynąć łódką.

Sally popatrzyła Robertowi w oczy, a on wytrzymał to spojrzenie.

- Środki bezpieczeństwa są bardziej niż konieczne - powiedziała z naganą w głosie.

- Wiem. Mam nadzieję, że goście będą zachowywać się rozsądnie. W Hiszpanii nie jest to wszystko takie proste. Wielu Hiszpanów nie umie pływać, a do tego oni nie przestrzegają zasad bezpieczeństwa. Turyści kąpiący się w morzu i wylegujący na plaży nie są przez nich traktowani jak zupełnie normalni. Od wieków walczyli z wiatrem i wodą i są szczęśliwi, gdy te żywioły im nie zagrażają. Założę się, że nie jesteśmy jedynym hotelem na Majorce, gdzie ratownik nie jest odpowiednio wyszkolony. W przyszłym roku chciałbym zatrudnić kilku wykwalifikowanych pracowników. A w tym sezonie możemy tylko trzymać kciuki, żeby wszystko było w porządku.

- Tablica ostrzegawcza jest wystarczająco wyraźna - stwierdziła dziewczyna. - Nie powinniśmy się zanadto zamartwiać.

Skierowali się w stronę małych żaglówek na plaży.

- Na tych łódkach można się fantastycznie uczyć żeglowania. Gdy się człowiek wywróci, dają się ponownie ustawić. A przy większych problemach wystarczy po prostu zostawić żagiel i ster, a łódź sama się ustawia.

- Nigdy sobie tego nie uświadamiałem. Mam wrażenie, że zna pani ten fach.

Słońce zaszło za wzgórze i zrobiło się chłodno.

- Mogę od zaraz rozpocząć pracę - zadeklarowała się Sally.

- Świetnie. Prosiłem Judy o przekazanie gościom, że pani już jest i że w każdej chwili można zacząć naukę. Ale nie ma obawy, przed dziesiątą do południa nikt nie będzie chciał mieć lekcji. W czasie wakacji ludzie nie są zbyt przedsiębiorczy rano.

- Wczesnym rankiem zwykle najlepiej jeździ się na nartach wodnych. Woda jest spokojna, fale nie przewracają pływającego. Gdyby ktoś chciał spróbować, to jestem do dyspozycji również wcześniej rano. Jak nie, to wykorzystam ten czas na studia, na zbieranie materiału i robienie notatek.

Powoli wracali do hotelu.

- Jestem pewien, że wszystko będzie dobrze - powiedział Robert.

- Też tak myślę.

Sally miała nadzieję, że Robert nie był świadom wrażenia, jakie wywarł na niej.

Przy basenie było zupełnie pusto. Sally cieszyła się, że jest sam na sam z Robertem. Czowała, że i jemu miło się rozmawiało.

- Szybko pozna pani rytm życia gości. Teraz wszyscy przebierają się na kolację. Potem ci młodzi pójdą na dyskotekę. Starsi państwo grają w karty albo oglądają film. Czy będzie pani miała ochotę dziś wieczór zjeść ze mną kolację w jadalni? Zawsze tam jem kolację, żeby pokazać gościom, że jestem na miejscu i biorę udział w życiu hotelu.

- Czy jedzenie mimo to smakuje gościom? - humor Sally poprawił się znacznie, gdy usłyszała to zaproszenie.

Robert zaśmiał się.

- Oczywiście. Jedzenie tutaj jest po prostu wspaniałe, ponieważ używamy wyłącznie produktów miejscowych. Lubi pani ryby?

- Bardzo. Są zdrowe.

- Oczywiście. Ale jako rodowity Australijczyk tęsknię czasem za porządnym stekiem.

Mimo woli zwolnili kroku i potrzebowali prawie pięciu minut na przejście tego krótkiego odcinka do wejścia.

- Widzimy się więc na kolacji. Będziemy mogli spokojnie dalej porozmawiać. Odnosiło się wrażenie, że Robert nie miał wielkiej ochoty odejść od niej.

- Kiedy mam przyjść? - spytała Sally.

- O dziewiątej.

- O dziewiątej? Do tej pory umrę z głodu!

Robert popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Ależ to normalna pora kolacji.

- To chyba teraz zjem coś pożywnego, a potem najwyżej odrobinę. Inaczej nie byłabym w stanie wstać wcześniej rano.

Robert uśmiechnął się.

- Tak czy owak czekam na panią - powtórzył.

Poszedł do biura. Sally w tym czasie zamówiła sobie w kafeterii chleb z szynką i lampkę wina. Pieczywo było smaczne i chrupiące, i musiała mocno się pilnować, żeby go nie zjeść za dużo. Zastanawiała się, co założyć do kolacji. Siedzenie z Robertem -

dyrektorem hotelu, przy jednym stoliku było chyba tym, co zaproszenie na obiad z kapitanem podczas podróży statkiem.

W Kalifornii nikt nie przejmował się ubraniem, nawet przy tak uroczystych okazjach. Gdyby zjawiała się w bikini, też by tego nikt nie zauważył. Ale w Europie trzeba było uważać, żeby nie zachować się niewłaściwie. Sally zastanawiała się. Nie było nikogo, kogo mogłaby poprosić o radę. Nie chciała wyrzucić niemiłego wrażenia już od pierwszej chwili. Nagle przyszedł jej do głowy pomysł.

Koło wpół do dziewiątej, gdy wielu gości było w barze na drinku przed kolacją, Sally wzięła lornetkę i zrobiła sobie małą wycieczkę, żeby poznać najbliższe otoczenie hotelu. Wybrała sobie osłonięte miejsce, skierowała lornetkę na ludzi przy barze i obserwowała ich ubiór. Stwierdziła, że panie były w letnich sukienkach lub spódniczkach i bluzkach tak jak ona.

Mimo, że była już prawie pora kolacji, Sally wróciła do pokoju i zajęła się przez chwilę książkami. Nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy Roberta. Ale od początku chciała mu pokazać, że ma jeszcze coś innego do roboty.

Gdy rozległ się gong, Sally zeszła do jadalni. Goście rozmawiali i zajmowali miejsca przy stolikach. Dziewczyna przebiegła wzrokiem po głowach siedzących osób i spostrzegła Roberta w samym końcu sali. Uderzyło ją, że był jedynym mężczyzną pod krawatem.

- O, jest pani - powitał ją serdecznie. - Myślałem już, że się pani zgubiła.

- Musiałam trochę popracować - odpowiedziała z pewnym zakłopotaniem.

- Nie szkodzi. Ale czekałem już na panią.

Uśmiechał się w tak ujmujący sposób, że poczuła, że ma nogi jak z waty.

- Ma pani ochotę na wino?

- Tak, proszę.

- Musimy poczekać jeszcze na Judy. Ale po kieliszku możemy się spokojnie napić.

Sally dopiero teraz zauważyła, że stół był nakryty dla czterech osób. Kto jest tą czwartą osobą? Potem spostrzegła, że wszystkie stoły są tak nakryte. Dzisiaj na pewno będą tylko we trójkę.

Robert nalał jej wina, unieśli kieliszki.

- Smakuje pani?

- Niezłe, da się pić.
- Czy wina kalifornijskie są lepsze?
- Moim zdaniem tak. Ale są bardzo drogie.
- Wina australijskie też mi bardziej odpowiadają. Ale wino miejscowe jest lekkie i gasi pragnienie. Może krewetkę?
- Dziękuję - Sally wzięła jedną i zaczęła ją obierać.
- Może zachowa pani któreś z tych zwierzątek jako materiał badawczy?
- Wie pan, że krewetki śpiewają w wodzie? - spytała Sally z uśmiechem.
- Naprawdę? Wiedziałem tylko o wielorybach.
- Krewetki też.
- Od razu czuję się winny, że zjadam tak miłe stworzonka. Mam nadzieję, że nie powie mi pani, że krzaki bawełny miło z sobą rozmawiają. Miałbym wyrzuty sumienia, że noszę tę koszulę.

Roześmieli się oboje.

Na pierwsze danie był schłodzony melon z szynką. Na inne stoły już podano i kelner spojrzał pytająco na Roberta.

- Proszę nam również podać. Myślę, że Judy przyjdzie lada moment.

Przeszło kolejnych pięć minut. Wreszcie Judy weszła do sali. Miała na sobie bardzo elegancką suknię wieczorową z zielonego szyfonu.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się na nią, gdy przechodziła między rzędami stolików.

Sally poczuła, że ogarnia ją lekka zazdrość. Jednocześnie zezłościła się na samą siebie. Dlaczego właściwie była zazdrosna?

Robert wykazał dużą cierpliwość czekając na Judy. Ale to chyba o niczym nie świadczy. Może wiedział, że Judy ma coś do zrobienia w biurze. Sally postanowiła nie zachowywać się tak dziecinnie.

Robert podniósł się: - Dzień dobry, Judy. Czuje się pani lepiej?

Judy uśmiechnęła się niewyraźnie. Popatrzyła chłodno na Sally i usiadła.

- Tak, dziękuję.
- Bolała ją głowa - pospieszył Robert z wyjaśnieniem.
- Po jedzeniu na pewno poczuję się jeszcze lepiej - zauważyła Judy.

Zaczęli wreszcie jeść, co Sally przyjęła z wyraźną ulgą. Jako główne danie podano polędwicę. Judy i Robert zauważyli, że Sally jadła bardzo niewiele. Byli jednak zbyt delikatni, by spytać o przyczynę. Ale gdy nawet nie ruszyła kolejnych dań, Robert spytał z uśmiechem:

- Chyba się pani nie boi, że przytyje u nas za bardzo?

Sally uśmiechnęła się:

- Nie, to nie dlatego nie jem. Chcę iść zaraz spać, bo inaczej nie będę w stanie wstać wcześniej rano.

Judy zmarszczyła czoło. - Wcześniej rano nic się tutaj nie dzieje. Ja nigdy nie wstaję przed dziesiątą.

- Ale ja poza pracą muszę się jeszcze zająć studiami. Potrzebuję trochę czasu na zbieranie próbek na plaży.

- Próbek? - spytała Judy ze zdziwieniem.

- Tak. Morszczykę, muszelki, potem również ryby.

- A czemu to ma służyć?

- Muszę je zbadać, by móc stwierdzić stopień zanieczyszczenia wody.

- Czy mogę prosić o wino? - spytała Judy. Było jasne, że ten temat ją po prostu nudził.

- Przepraszam - Robert natychmiast spełnił jej prośbę. - Nie uważałem.

- Dittendorffowie skarżyli się, że w barze nie ma lemoniady niskokalorycznej. A państwo Leylandowie twierdzili, że herbata była zrobiona z wody z kranu - Judy zwróciła się do Roberta.

- Przecież poleciłem wyraźnie, by używano tylko wody mineralnej.

- Tak, to prawda. Ale woda mineralna się skończyła, a nowa dostawa opóźniła się.

- Czy wytłumaczyła im to pani?

- Tak. Chyba zrozumieli.

- Od tej pory będę musiał zamawiać podwójną ilość wody mineralnej, żeby zawsze był zapas w magazynie.

- Było kilka pytań odnośnie pani lekcji - powiedziała Judy do Sally. - Wszystko zapisałam.

Sally uśmiechnęła się. - Fantastycznie. Przynajmniej nie będę się nudzić.

- To pani nie grozi. Mam nadzieję, że będzie się pani dobrze bawić. Jeszcze trochę wina? - spytał Robert.

- Nie, dziękuję uprzejmie.

- A pani, Judy? - trzymał butelkę gotową do nalania.

- Nie, również dziękuję. A tak na marginesie. Czy nie moglibyśmy czasem serwować francuskiego wina?

Robert był zaskoczony. - Nie smakuje pani miejscowe wino?

- Nie jest złe, ale lubię zmiany. Ostatecznie muszę tu jeść co wieczór, a nie tylko dwa czy trzy tygodnie jak nasi goście.

- Dobrze, zajmę się tym.

Robert spojrzał pytająco na Sally, ona jednak unikała jego wzroku. Postanowiła nie mieszać się do rozmowy.

Judy wstała od stołu. - Przepraszam, ale obiecałam państwu Lane, że razem wypijemy kawę. Zastanawiają się, czy nie namówić syna z synową, żeby przyjechali tu do nas na wypoczynek.

- Bardzo dobrze - ucieszył się Robert. - Proszę polecić im urlop w październiku. Wspaniała pogoda, mało turystów.

Sally ulżyło, gdy Judy odeszła. Nareszcie byli sami z Robertem.

- W sierpniu zazwyczaj strasznie leje przez jeden tydzień. Ale niech to zostanie naszą tajemnicą państwową.

- Bardzo mi się tu podoba. - Sally zdecydowała się na jeszcze jedną lampkę wina. - Ludzie są uprzejmi, klimat łagodny i wszystko jest takie czyste.

- Zdaje mi się, że Judy nie jest dzisiaj w najlepszej formie - przeprosił Robert po chwili. - Nie czuła się dobrze. Ale ona też nie ma lekkiej pracy. Bez przerwy musi wysłuchiwać narzekań gości.

W sali zrobiło się ciszej. Większość gości już wyszła, kelnerzy sprząтали ze stołów. Na tarasie podawano kawę. Robert popatrzył na zegarek.

- Już prawie pora iść spać. Zwykle robię rundkę dokoła portu. Pójdzie pani ze mną?

- Chętnie - odpowiedziała Sally bez namysłu.

Wyszli z hotelu. Przed nimi był malowniczy mały port, którego światła odbijały się w wodzie. Słyszeli plusk fal o brzeg. Łagodna bryza przyniosła zapach pinii i morza.

- Brakuje panu Australii?

- Trochę. Ale mogę tam lecieć w każdej chwili. Poza tym jestem przyzwyczajony żyć z dala od kraju. Byłem wychowany w internacie, potem chodziłem do college'u w Londynie.

- Mam wrażenie, że Australijczycy lubią podróżować.

- Tak się pani wydaje, bo jest nas wszędzie pełno. Ale dzisiaj w ogóle dużo się podróżuje. Świat zrobił się mały.

W milczeniu spoglądali na łódzie rybackie kołyszące się na spokojnej wodzie. Po chwili zawrócili do hotelu. Im dalej za sobą zostawiali światła portu, tym stawali się bardziej milczący. Na wąskiej dróżce Sally nagle uświadomiła sobie, jak blisko niej szedł Robert. Serce zabiło jej gwałtowniej. Na szczęście było ciemno i nie mógł zobaczyć jej twarzy.

Po chwili Robert zaczął: - Sam Hoffman opowiadał mi trochę o pani. Usiłowałem sobie wyobrazić, jak pani wygląda.

- Jest pan rozczarowany?

- Nie, przeciwnie.

- Zdradzę panu tajemnicę. Ja wiedziałam, jak pan wygląda, zanim tu przyjechałam. Sam pokazał mi pański film o tym hotelu.

Zwolnili kroku. Szli tak blisko siebie, że niemal się dotykali. Pojawił się już księżyc i odbijał się w morzu. Nagle przystanęli i spojrzeli na siebie. Sally wydawało się czymś naturalnym, że nagle Robert wziął ją w ramiona i delikatnie pocałował. To było nieopisane, cudowne uczucie. Jeszcze wspanialsze, niż sobie to wcześniej wyobrażała.

- Sally - szeptał jej do ucha - to wspaniałe, że tu jesteś. Chyba niebo mi cię zesłało.

Przycisnął ją do siebie i pocałował. Teraz był to pocałunek pełen namiętności. Zaczęła stawiać lekki opór.

- Robercie, proszę.

- Wiem, że nie jest to najlepsze miejsce. Chodźmy do mnie. Nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Sally zeszywniała nagle. Tego się nie spodziewała! Niecałe sześć godzin była w Cala Ratjada, a on chce ją już mieć w łóżku.

- Nie - powiedziała stanowczo. - Nie chcę.

- Proszę, Sally. Będę zachowywał się jak dżentelmen.

- Nie! - krzyknęła i odepchnęła go. - Przyjechałam tu do pracy. I tylko po to. W umowie nie ma ani słowa o tym, że mam iść z panem do łóżka po kilku godzinach! Odwróciła się i pobiegła do hotelu. Zamknęła się w swoim pokoju.

3.

Była zmieszana i zupełnie wytracona z równowagi. Czuła się strasznie samotna. Nie rozumiała tego wszystkiego. Przecież sama chciała, żeby Robert ją pocałował. Było tak dobrze w jego ramionach. Ale on ewidentnie szukał przygody. Może miał więcej szczęścia z innymi dziewczynami.

Sally była zadowolona, że nie dała się omotać jego niezwykłemu urokowi. Nie miała ochoty na słomiany zapał. Zastanawiała się, czy przez swoje zachowanie nie utraci pracy. Czy nie było to ukartowane przez Sama Hoffmana i Roberta Haleya? Postanowiła z ciężkim sercem, że natychmiast wyjedzie z hotelu, gdyby to podejrzenie miało okazać się prawdą. W najgorszym razie wróci do Kalifornii.

Nagły dzwonek telefonu przerwał tok jej smutnych myśli. Zanim podniosła słuchawkę, wiedziała kto dzwoni.

- Halo, Sally. Tu Robert.

- Tak?

- Chciałem panią przeprosić.

- W porządku.

- Przykro mi. Dopiero pani przyjechała i już... Nie chciałbym, żeby były jakieś nieporozumienia między nami. Zapomniałem się. Bardzo mi przykro. Naprawdę.

- Rozumiem.

- To do jutra.

Sally z ulgą odłożyła słuchawkę. Sprawa została wyjaśniona. To znacznie uprości ich nieuniknione przecież kontakty w najbliższym czasie.

Poczuła się znacznie lepiej. Postanowiła pójść spać. Zanim zasnęła, pomyślała sobie, że mimo wszystko Robert jest najbardziej pociągającym mężczyzną, jakiego

kiedykolwiek spotkała. Pamiętała dobrze dreszcz, który przebiegał ją przy każdym jego dotyku.

Sally przebudziła się krótko po wschodzie słońca. Czowała się świeża i gotowa do działania. Jako wstęp do prac badawczych zaplanowała sobie długi spacer po wybrzeżu. Chciała mieć ogólną orientację.

Słońce pojawiło się nad morzem i zatopiło zatokę Cala Ratjada w błyszczącym świetle.

Spacerowała wzdłuż plaży. Wzrokiem fachowca obrzucała ślimaki, muszle, rozgwiazdy, skały z niezliczoną ilością skorupiaków i wodorostów. Na otwartym morzu spostrzegła kilka bawiących się delfinów. Łodzie rybackie wracały z połowu z ciężkim ładunkiem.

Gdy Sally wróciła ze spaceru, w hotelu nadal panowała cisza.

- Czy o tej porze zawsze jest tak spokojnie? - spytała kelnera w kafeterii, który przyniósł jej sok pomarańczowy, chrupiące bułeczki z dżemem brzoskwiniowym i mocną kawę.

- Prawie zawsze. A przecież tu jest tak pięknie po wschodzie słońca.

Zdziwiła się, jak można tak po prostu przespać najpiękniejszą porę dnia. Potem pomyślała sobie, że to właściwie zrozumiałe, że ludzie, którzy pracują, śpią dłużej podczas urlopu. Mimo to była zaskoczona, że większość gości spędza dzień w restauracji czy kawiarni albo przy głośnej muzyce w dyskotecie. Dokładnie to samo można przecież robić w domu.

- O, jest pani! - usłyszała nagle kobiecy głos.

Sally obejrzała się. Za nią stała Judy, jak zawsze elegancko ubrana. Miała na sobie wąskie białe spodnie, szeroką jedwabną bluzkę i białe sandały na obcasie.

- Dzień dobry - powiedziała Sally.

- Dzień dobry. Mogę się przysiąc do pani na kawę?

- Oczywiście.

Judy usiadła i przywołała kelnera. - To co zawsze - poprosiła.

Sally miała poważne wątpliwości, czy Judy jest zadowolona ze swego zawodu. Na pewno bardzo się starała. Ale chyba praca nie sprawiała jej większej radości.

- Przyniosłam listę lekcji - powiedziała podając Sally kartkę. - Jest zupełnie niezobowiązująca, bo te lekcje są dla gości nieodpłatne. Ale może będzie pani łatwiej ułożyć sobie dzień.

- Dziękuję. Mam nadzieję, że będę miała więcej zajęć, gdy rozejdzie się wieść, że tu jestem.

- Przypuszczam, że głównie mężczyźni odkryją w sobie ambicje sportowe.

- Powinni uważać - zaśmiała się dziewczyna. - Bo będę potem musiała rozmawiać z ich żonami.

Około wpół do dziesiątej wstała od stolika.

- Przyjrzę się motorówce. Mam nadzieję, że obaj kierowcy już przyszli. Goście na pewno nie byliby zachwyceni, gdyby musieli czekać.

Judy wzruszyła ramionami: - W kraju, w którym najważniejszym słowem jest *mañana*, nie da się uniknąć czekania. Na szczęście większość gości nie przejmuje się tym.

- Szkoda, że tu nie da się pływać na falach. Nie ma przypływów i odpływów, a fale są o wiele za małe. Ale mimo to widziałam na plaży kilka desek surfingowych.

- Goście trochę wiosłują na nich - wyjaśniła Judy.

- A czy pani uprawia jakiś sport?

Przez moment Judy sprawiała wrażenie zakłopotanej. Sally była świadoma, że większość ludzi nie ma dość cierpliwości, żeby regularnie uprawiać sport. Ale część z nich jest na tyle uczciwa, żeby się otwarcie do tego przyznać.

- Gram w tenisa - odpowiedziała Judy po krótkiej przerwie. - Pani również?

- Nie. Nie trafiłabym chyba ani razu w piłeczkę.

- Szkoda - nagle bardzo serdecznie powiedziała Judy - Robert bardzo lubi grać w tenisa. Często szukamy partnerów do mieszanego debla.

Nagle Sally zapragnęła też nauczyć się grać, ale nie powiedziała o tym Judy.

- Do zobaczenia - pożegnała się i poszła na plażę.

Obaj mężczyźni zatrudnieni przez Roberta jako kierowcy motorówek pojawili się dopiero o wpół do jedenastej. Sally czekała na nich z pewną niecierpliwością. Stwierdziła jednakże, że nie do jej obowiązków należy upominanie ich za niepunktualność. Zresztą na pewno nie zrozumieliby, dlaczego się złości. Tu, na Majorce, pół godziny nie miało żadnego znaczenia.

Sally szybko zauważyła, że tutejsze określenia czasu ograniczały się do „rano”, „w południe” i „wieczorem”. Ci młodzi Hiszpanie na pewno nie poczuli się do jakiegokolwiek winy.

- José - przedstawił się starszy z nich i poklepał się po piersi. Sally oceniła go na jakieś dwadzieścia dwa lata.

- Facundo - powiedział drugi, młodszy może o dwa lata.

Obaj mieli na sobie wypłowiałe dzinsy i sprane koszulki bawełniane. Trudno byłoby dociec, jakiego koloru były pierwotnie. Obaj mieli na szyi złote łańcuszki z krzyżykiem. Bransoletki zegarków wyglądały trochę pretensjonalnie.

- O której zaczyna się tu praca? - spytała uprzejmie Sally.

- Teraz - odpowiedzieli obaj pogodnie. Wzdychając i jęcząc przesunęli ciężką motorówkę z plaży na wodę.

- Państwo chcecie jeździć na nartach wodnych, prawda? Możemy zacząć? - spytała Sally młodą parę czekającą już od pewnego czasu. Byli z Hamburga, bardzo mili, ale niewiele mówili po angielsku.

- Proszę mi może pokazać, co państwo już umiecie - zachęciła Sally młodą kobietę. Pomogła jej przymocować do nóg obie deski.

- Możemy zacząć! - krzyknął José. Wszedł do motorówki i zdjął koszulkę. Próbował uruchomić silnik, ale bezskutecznie.

- Stój! - krzyknęła Sally po kilku daremnych próbach. - Niech pan przestanie. Akumulator się wyczerpie i łódź będzie dzisiaj nie do użytku. Mam wrażenie, że motor jest zatarty. Zaraz sprawdzę.

Ten rodzaj motorów Sally знаła od dziecka. Po pobieżnym przejrzaniu wydawało się, że wszystko jest w porządku. Rutynowo rzuciła okiem na bak. Był pusty.

- Chyba wczoraj wieczorem dojechaliście do brzegu na ostatniej kropli benzyny - popatrzyła rozbawiona na obu Hiszpanów. - Przykro mi - powiedziała do pary z Hamburga. - Zaczniemy dopiero wtedy, gdy José i Facundo uzupełnią paliwo.

Młodzi Niemcy przyjęli to ze spokojem i poszli do hotelu na drinka. Obaj Hiszpanie ruszyli za nimi z dużym kanistrem na benzynę.

Potrzebowali ponad godzinę na powrót i uruchomienie łodzi. Hamburgczycy czekali na plaży od dobrych dwudziestu minut.

Gdy wreszcie motor zapalił, dziewczyna weszła do wody i wskoczyła do gumowych butów umocowanych na nartach wodnych.

Śruba motoru obracała się powoli aż do momentu, gdy lina była dobrze napięta. Sally podała dziewczynie do ręki uchwyt i skinęła na Facundo. José dał gazu i motorówka pociągnęła kobietę po wodzie. Jej postawa, zdaniem Sally, była zupełnie dobra. Przy drugim okrążeniu udało się jej nawet stać w miarę wygodnie. W momencie, gdy przecinała fale wytworzone przez motorówkę, przewróciła się. Nie przejęła się tym i zrobiła jeszcze jedną rundkę przed powrotem na brzeg.

- Nieźle - powiedziała Sally. - Zobaczmy teraz, co umie pani mąż.

Jechał podobnie jak żona. Sally zauważyła, że oboje byli zadowoleni, że w ogóle utrzymują równowagę, co jest zupełnie normalne dla początkujących. Gdy stali na deskach, zupełnie zapominali o wskazówkach usłyszanych na brzegu.

- Moglibyśmy trochę popracować nad postawą. Jesteście zbyt spięci.

Młodzi ludzie popatrzyli na siebie. Sally nie była pewna, czy zrozumieli, o co jej chodzi. Oboje słabo mówili po angielsku.

- Jesteście państwo za sztywni, mało elastyczni. - Sally spróbowała jeszcze raz. Ale oni znowu spojrzeli na siebie pytająco. - Może najlepiej będzie, gdy pokażę, o co chodzi. Przy pierwszym okrążeniu pokażę, jak się nie powinno jeździć. Przy drugim - jak jest dobrze.

Sally weszła do wody i przymocowała narty. Fernando rzucił jej linę, ona skinęła głową i łódź ruszyła. Pokazywanie złej postawy wcale nie było takie proste. Z pewnym wysiłkiem Sally udało się wyolbrzymić błędy, żeby uczniowie lepiej widzieli, o co jej chodzi. Przy drugiej rundzie zademonstrowała, o ile prościej jest, gdy człowiek się rozluźni. Wygodnie odchyliła się do tyłu, lekko ugięła kolana, gdy przecinała wodę wzburzoną przez motorówkę. Gdy wróciła na plażę, młodzi ludzie rozumieli już wszystko.

- Proszę, niech państwo teraz spróbują - zachęcała Sally. - Teraz już wiecie, jak się jeździ prawidłowo. Wkrótce możecie być mistrzami w nartach wodnych.

Sally cieszyła się, że lekcja sprawia obojgu autentyczną radość. Z pełnym zapałem przykładali się do ćwiczeń. Gdy już mieli dość, podziękowali Sally.

Nagle odkryli pojedynczą nartę leżącą na plaży. Jak wszyscy początkujący, używali do nauki dwu nart. Zaawansowani w tym sporcie starają się trzymać obie nogi na jednej

desce. Dzięki temu, że opór wody jest znacznie mniejszy, można osiągać większą szybkość.

- W tej chwili nie będziecie się jeszcze czuli na niej pewnie. Ale potem mogę pokazać, jak się obchodzić z tą deską - powiedziała Sally.

Młody mężczyzna chciał jednak od razu zobaczyć, jak jeździ się na jednej desce.

- Proszę nam pokazać. Będziemy się przyglądać - poprosił.

Sally popatrzyła na zegarek. Miała straszną ochotę popływać. Krótka jazda przed chwilą rozbudziła jej apetyt. Z drugiej strony wiedziała, że czekano już na nią na basenie, gdzie miała uczyć pływać. Czas biegł za szybko. Nie chciała jednak rozczarować tych młodych ludzi.

- Dobrze - zgodziła się - pokażę państwu. Ale tylko jedno małe okrążenie.

Wzięła w rękę uchwyt linki i weszła do wody. Zręcznie przymocowała nartę do stóp i dała znak José, by ruszał. Ostatni raz pływała na nartach wodnych przed wieloma tygodniami, i teraz jazda sprawiała jej olbrzymią przyjemność. Jedyne z poczucia obowiązku ograniczyła się do jednej rundy. Z dużą szybkością przecinała wodę wzburzoną przez łódź i rozbryzgiwała olbrzymie fontanny. W ostatnim momencie puściła linkę i elegancko skierowała się na plażę. Zeskoczyła z deski na wodzie do kolan.

- Wygląda to znacznie bardziej skomplikowanie, niż jest w rzeczywistości - powiedziała zdumionym Niemcom. - Ale trochę też trzeba poćwiczyć.

Młodzi ludzie pożegnali się i pod wrażeniem poszli do hotelu świętować nowe umiejętności.

Również Facundo i José zdziwieni byli sprawnością sportową Amerykanki.

- *Bueno, bueno!* - wołali zachwyceni patrząc na Sally.

W drodze na basen prawie zderzyła się z Judy.

- Państwo Somerset czekają niecierpliwie, aż ich córka zacznie się wreszcie uczyć pływać - w głosie Judy słychać było wyrzut.

Sally przygryzła wargę. Postanowiła nie dać się sprowokować.

- Właśnie idę do nich. Zatrzymano mnie na chwilę.

- Widzieli, jak pływa pani na nartach. Nic dziwnego, że myśleli, że zapomniała pani o nich.

- Przykro mi, przeproszę ich.

Sally nie wspomniała słowem o awarii motorówki i o spóźnieniu obu kierowców. Przedłużanie rozmowy nie miało sensu. Bez słowa odwróciła się i poszła na basen.

- Przykro mi, że musieliście państwo czekać. Zatrzymano mnie na chwilę przy lekcji jazdy na nartach - przeprosiła Somersetów.

- Widzieliśmy panią - powiedziała Mrs. Somerset. Była Angielką, ładną i bardzo ponętą. - Mam wrażenie, że taka jazda sprawia wiele przyjemności. Też będziemy chcieli spróbować.

- Moglibyście państwo jutro?

Mrs. Somerset spojrzała pytająco na męża. - Co ty na to, Bill?

- Bardzo chętnie. Od dawna chciałem spróbować. Ich córka miała dwanaście lat. Była zaskakująco nieśmiała.

- Właściwie umie już pływać - wyjaśnił ojciec. - I sprawia jej to przyjemność. Ale jest taka nieporadna w wodzie. Wygląda jak mały psiak walczący o życie.

- Tatusiu! - zaprotestowała dziewczynka.

- Wszyscy tak wyglądamy, gdy uczymy się pływać - pocieszyła ją Sally. - Pokaż mi, co potrafisz. Umiesz pływać czałkiem?

- Spróbuję.

Dziewczynka wskoczyła do basenu i zaczęła pływać.

Robiła błędy typowe dla początkujących, poruszała się zbyt szybko i nie kontrolowała ruchów. Sally wskoczyła za nią do wody.

- Popatrz na mnie. Pokażę ci, jak pływasz.

Naśladowała oddech dziewczynki, mało wyprostowane nogi i szamotanie ramionami.

- A teraz popatrz, jak powinno być. Widzisz? Oddycham spokojnie. I nie uderzam ramionami o wodę. Chłapanie jest może i ładne, ale nie posuwa do przodu.

Sally płynęła swobodnie. Kilkoro gości stanęło przy brzegu basenu i podziwiała jej zwinność.

- Widzisz, o co mi chodzi? - spytała dziewczynkę. - A teraz chodź. Musisz się nauczyć poruszać wolniej.

Uczennica starała się. Sally patrzyła z przyjemnością, jak styl dziewczynki stopniowo się poprawia. Po chwili stwierdziła, że dalej może już ćwiczyć sama.

Sally postąpiła kilka minut przy basenie, potem poszła na obiad do kafeterii. Wielu gości przychodziło tutaj, żeby nie musieć przebierać się do jedzenia. Był duży wybór lekkich dań i sałatek. Goście nie musieli na długo odchodzić od morza i plaży.

Dziewczyna wzięła trochę zimnej ryby, świeży majonez i salaterkę sałatki. Pomidory były soczyste i czerwone. Widać było, że nie są ze szklarni i dojrzewały na południowym słońcu.

Po posiłku Sally poszła na chwilę do pokoju. Miała ochotę chwilę odpocząć i przejrzeć notatki. O trzeciej zeszła na dół. Chciała wziąć z magazynu butle tlenowe i aparat do oddychania. Przy basenie czekał młody Francuz. Chciał się uczyć nurkować.

- Muszę poruszać się pod wodą jak sławny Cousteau. Filmy o jego podwodnych przeżyciach zrobiły na mnie duże wrażenie.

Sally kilka razy zanurkowała z nim na dno basenu, żeby oswoił się z aparatem i z uczuciem, że jest pod powierzchnią wody.

Gdy Francuz był zmęczony, Sally poszła na plażę zobaczyć, co robią José i Facundo. Spali na ciepłym piasku. Widocznie już nikt nie zgłosił się do jazdy na nartach. Nie budziła ich i poszła do siebie do pokoju.

Wzięła prysznic, włożyła świeże ubranie i popracowała trochę. Właśnie czytała coś o mątwach, gdy zadzwonił telefon.

- Halo? Mówi Robert.

Sally poczuła, że serce zaczęło jej łomotać.

- Chciałem tylko spytać, czy będzie pani miała ochotę na wspólną kolację ze mną.

- Dlaczego nie?

- Wspaniale. Cieszę się. - Wydawał się uspokojony. - Bałem się, że jest pani jeszcze zła na mnie.

- Nie. Już nie.

- Oczywiście nie ma pani obowiązku jeść ze mną, jeżeli pani nie chce.

- Ale ja chcę. O ile pan...

- Oczywiście. Rozumiem. Więc do wieczora.

Sally uśmiechnęła się odkładając słuchawkę. Chyba faktycznie było mu przykro, że tak się wczoraj zachował. Ale może nie będzie miał zbyt wielkich wyrzutów sumienia. Ostatecznie to nie przestępstwo, kiedy mężczyzna próbuje pocałować kobietę. Tak długo,

jak długo ta kobieta nie ma nic przeciwko temu. Sally musiała przyznać się przed samą sobą, że chętnie przystałaby na to, gdyby Robert znów chciał ją pocałować.

Czy w ogóle zależało mu choć trochę na niej? Czy jako właściciel hotelu uważał ją za część swojej posiadłości? Będzie musiała dojść do tego.

Gdy nadszedł wieczór, zadała sobie trochę trudu z dopasowaniem garderoby. Wybrała białą sukienkę z wzorzystymi rękawami, trochę podobną do sukni Judy, którą ona miała na sobie w dniu przyjazdu Sally. Ale ta suknia nie była rozcięta po bokach.

Fason sukienki był podpatrzony z drogiej paryskiej sukni modelowej. Oryginał był jedwabny, jej sukienka natomiast bawełniana.

Sally zastanawiała się przez moment, potem dokładnie odpruła metkę. Metki mają niemiły zwyczaj wychodzenia w zupełnie nieoczekiwanym momencie. Sally wyobrażała sobie plastycznie, jak Judy powoli odczytuje napis, a potem uśmiecha się protekcyjnie. Dobrała jeszcze odpowiednie kolczyki, delikatny złoty łańcuszek i złote bransoletki.

Zeszła na dół zaraz po gongu. Przy stole siedziała już Judy, Robert i jakiś obcy mężczyzna.

- To pan Fernando Gomez - przedstawił Robert.

- *Encantada* - powiedziała Sally.

- *Buenas tardes* - odpowiedział Fernando. - Mówi pani po hiszpańsku?

- *Un poco solamente* - zastrzegła się Sally. - Ale codziennie uczę się trochę więcej.

Fernando posiadał typowy charme południowców. Miał około trzydziestki, ciemną cerę, gęste, czarne, kręcone włosy, piwne oczy i promienny uśmiech. Miał na sobie dwurzędową jasnoniebieską marynarkę, białe spodnie i białe buty. Tak jak Robert, był też pod krawatem.

W gruncie rzeczy Sally nie cierpiała dwurzędówek z błyszczącymi guzikami, ale mimo to z przyjemnością patrzyła na mężczyznę zwracającego uwagę na swój wygląd zewnętrzny. Na prawej ręce Fernanda spostrzegła duży sygnet z wieloma różnymi symbolami rodzin. Wyglądało na to, iż jego właściciel spokrewniony jest z licznymi rodami szlacheckimi.

Nie pasowało do tego nazwisko Fernanda. Gomez był równie pospolitym nazwiskiem w Hiszpanii, jak Smith w Ameryce.

Od Fernanda bił mocny zapach wody kolońskiej. Delikatna woń lawendy Sally została całkowicie stłumiona.

- Jak słyszałem, jest pani znakomitą sportsmenką - Hiszpan natychmiast zwrócił się do dziewczyny.

- I nie tylko - wtrącił Robert. - Pani przyjechała tu przede wszystkim na dalsze studia.

To jednak nie interesowało Fernanda.

- Brała pani udział w jakichś mistrzostwach?

- Nie. Nie lubię zawodów. Uwielbiam jedynie wszystkie rodzaje sportów wodnych.

Sally zastanawiała się, kim był ten Fernando. Stary przyjaciel Roberta? Wspólnik? A może był tu zupełnie przypadkowo?

- Mieszka pan w Cala Ratjada?

- Tak, o ile nie jeżdżę w interesach. Przeprowadziłem się tutaj zupełnie niedawno.

- Nie zauważyła pani dużego białego domu na wzgórzu, zaraz przy wjeździe do miasta? - spytał Robert.

Sally potrząsnęła głową.

- A tam właśnie mieszka Fernando.

Pan Gomez skinął potwierdzająco głową. - Koniecznie musi pani odwiedzić mnie kiedyś. Widok z góry jest wspaniały.

- Czy widać stamtąd Minorę?

- Tak. Przy pięknej pogodzie i dobrej widoczności.

Judy nie brała dotychczas udziału w rozmowie. Była dziś wyjątkowo małomówna. Robert próbował ożywić ją trochę.

- Czy musiała pani znowu zajmować się kłopotami naszych drogich gości? - spytał współczująco. - Nie byli dzisiaj grzeczni?

- Dotychczas wszystko w porządku.

- Judy ma trudną pracę w hotelu - zwrócił się Robert do Fernanda. - Jest centralnym punktem wysłuchiwania wszelkich skarg i wniosków. Dbą o to, by goście byli zadowoleni.

Fernando sprawiał wrażenie poruszonego.

- Robert jak zwykle przesadza - powiedziała Judy. - Dobrze się tutaj czuję. Tylko czasem muszę wysłuchać kilku zażaleń. - Uśmiechnęła się i trochę odprężyła.

Sally po raz pierwszy zauważyła, że Judy patrzy na Roberta wzrokiem pełnym podziwu. A on miał dzisiaj wspaniały humor. Sally nie mogła się jednak pozbyć uczucia, że unika spojrzenia w jej kierunku.

Po posiłku przeszli do salonu na kawę. Przy pierwszej sposobności Fernando wziął Sally na stronę.

- Czy miałyby pani ochotę być gościem w moim domu jutro wieczorem? - spytał cicho.

Zgodziła się bez zastanowienia.

Dlaczego nie? - pomyślała. Robert na pewno będzie zaskoczony. Odrobina zazdrości może mu dobrze zrobić.

- O ósmej przyślę po panią samochód.

Sally nie przykładła zbyt dużej wagi do tego zaproszenia. Była ciekawa, bo nigdy jeszcze nie widziała hiszpańskiego domu od środka. Znacznie bardziej zastanawiało ją chłodne spojrzenie Roberta dzisiaj wieczorem. Czyżby już zupełnie wygasło w nim zainteresowanie jej osobą? A może czuł się urażony, że go odrzuciła?

Im dłużej myślała, tym mocniej postanowiła sobie odzyskać jego sympatię.

4.

Również następnego dnia Sally była na plaży krótko po wschodzie słońca. Zbierała próbki i robiła notatki.

Po śniadaniu rozejrzała się za Judy. Chciała ją zapytać o plan dnia. Znalazła ją w biurze.

- Dzień dobry - zawołała pogodnie. - Co będę mieć dzisiaj do roboty?

- Wypisałam pani nazwiska gości chcących się uczyć - Judy podała listę przez biurko.

- Dziękuję. Dlaczego nie powie pani gościom, żeby bezpośrednio skontaktowali się ze mną? Oszczędziłoby to pani czasu.

- Ależ to dla mnie żaden problem - głos Judy brzmiał podejrzanie miło. - Już ja to zrobię. Gościom będzie łatwiej znaleźć mnie tutaj, w biurze.

- Jak pani sobie życzy. Gdyby zmieniła pani zdanie, to proszę mi powiedzieć.

Czyżby Judy zależało na tym, żeby wszystko kontrolować? Może chciała mieć świadomość, że jest niezastąpiona? Nie było też nikogo, kto by zagrażał jej stanowisku. Robert miał o niej bardzo dobre zdanie i był zadowolony z jej pracy.

Również dzisiaj José i Facundo spóźnili się pół godziny. Sally była już na to nastawiona. Ale para z Hamburga i dwie nastolatki, których nie było na liście, czekali na nią znacznie wcześniej. Tak więc od samego rana plan uległ zmianie i zaczął się od spóźnienia.

Tymczasem jej klasa pływacka powiększyła się. Gdy po obiedzie poszła na basen ćwiczyć nurkowanie z Francuzem, zastała tam kolejnych dwóch zainteresowanych.

Wczesnym wieczorem Sally postanowiła obejrzeć sobie miejscowe sklepy. Spacer był piękny, ale dziewczyna nie znalazła nic, co by ją specjalnie kusilo. Był duży wybór wyrobów i odzieży skórzanej, ale akurat za tym nie przepadała specjalnie. Bez namysłu zrezygnowała też z małych byków, torreadorów i noży do papieru ze stali tolekańskiej.

Zaciekawiły ją małe sklepiki spożywcze kuszące gamą obcych zapachów. Jak dawniej sprzedawano tam mąkę i fasolę z dużych worków stojących na podłodze. Było to

coś zupełnie innego od amerykańskich sterylnych supermarketów. Sally kupiła owoce i kolorowy bukiet kwiatów do pokoju. Potem wróciła do hotelu.

Po przyjsciu zadzwoniła do Roberta. Chciała mu dać znać, że nie będą mogli zjeść razem kolacji.

- Będę zgadywał. Przypuszczalnie idzie pani do Fernanda. Na pewno będzie ciekawie. Szkoda, że nie zaprosił również Judy i mnie.

- Nie pomyślałam o tym. Na pewno to wkrótce nadrobi. Może uznał za stosowne, żebyście wreszcie mogli być sami z Judy - odparowała szybko.

- Dziękuję. Nie potrzebuję pomocy. W każdym razie, życzę pani miłego wieczoru. Może zainteresuje panią fakt, że Fernando rozważa możliwość kupna naszego hotelu.

- Nie wiedziałam, że jest na sprzedaż.

- Wszystko jest na sprzedaż, jeżeli cena jest odpowiednia - Robert zaśmiał się szorstko. - A czy przynajmniej jutro będzie pani miała czas na kolację z szefem?

Sally powstrzymała uśmiech: - Myślę, że tak.

- Na pewno?

- We wsi mogłabym zjeść w najlepszym razie koźlinę. Wolę już zostać w hotelu.

Na pewno pan mnie zrozumie.

Chyba był trochę udobruchany.

Sally przebierała się i zastanawiała, czy Fernando zaprosił na dzisiejszy wieczór również innych gości. Wybrała błękitną letnią sukienkę.

Na dole w hallu natknęła się na Judy.

- Słyszałam, że je pani poza hotelem.

- Jestem zaproszona do Fernanda. Po raz pierwszy będę mogła zobaczyć dom hiszpański od środka.

- Mam nadzieję, że nie będzie to ostatni raz.

- Proszę się nie martwić. Zobaczy pani, że wrócę przed północą. Nie jestem nocną sową.

- Wątpię, żeby wyszła pani aż tak wcześnie. Na pewno kolacja nie będzie przed dziesiątą.

- Chyba nie ma pani żalu, że nie jem w hotelu?

- Jak pani to przyszło do głowy? Wreszcie będziemy mieli z Robertem czas na rozmowę. Musimy masę rzeczy omówić.

- Wyobrażam sobie - odpowiedziała Sally z uśmiechem i wyszła z hotelu.

Przed wejściem podszedł do niej nienagannie ubrany człowiek w okropnej czapce szoferskiej.

- *Señorita* Sally?

- Tak, to ja.

- *Señor* Gomez polecił mi przyjechać po panią.

Poszła za nim do błyszczącego mercedesa. Otworzył drzwiczki i Sally siadła na tylnym siedzeniu.

Cóż za uczucie! To zupełnie co innego niż hamburger i frytki w Los Angeles.

- Jak mnie pan poznał?

- *Señor* Fernando powiedział mi, że mam wypatrywać pięknej dziewczyny o ciemnych oczach. To mogła być tylko pani.

Siedzenia były tak cudownie wygodne, że Sally z przyjemnością jechałaby dłużej. Turyści we wsi patrzyli na nią z ciekawością, gdy samochód wolno przejeżdżał przez

Cala Ratjada. Skręcili w ulicę prowadzącą na wzgórze. Po obu jej stronach rosły pinie i jałowce. W końcu dojechali do kutej żelaznej bramy z dwoma kamiennymi lwami naturalnej wielkości po bokach. Samochód stanął przed schodami, zaskrzypiał żwir. Sally wysiadła i natychmiast uderzyła ją charakterystyczna woń Morza Śródziemnego. Była to mieszanka zapachów soli i wody, żywicy pinii, jałowca i palonego węgla drzewnego.

- *Buenas tardes* - powitał ją Fernando wychodząc naprzeciw.

Znowu pachniał mocną wodą kolońską. Sally pomyślała sobie, że chyba zużywa jej niesamowite ilości.

- Halo - odpowiedziała i uściśnęła jego rękę.

- Pozwoli pani, że najpierw wypijemy drinka na tarasie?

Poprowadził ją przez niemal książęco wyposażoną jadalnię. Były tam wspaniałe gobeliny, stare malowidła i meble z drzewa orzechowego. Przy potężnym stole mogło spokojnie zasiąść dwadzieścia osób.

Sally spostrzegła z mieszanymi uczuciami, że nakryto tylko dla dwóch osób.

Przeszli przez mniejszy salon wychodzący na przepiękny taras.

Fernando podprowadził dziewczynę do kamiennej balustrady. Widok był rzeczywiście niepowtarzalny! Pod nimi rozpościerało się wybrzeże poprzecinane rozpadlinami. Biała kipiela wyróżniała się jasnością w nastającym zmroku.

Po drugiej stronie zatoki tajemniczo migotały światła innych wsi wyspy. Ciemne morze było nakrapiane światłami niezliczonych łodzi rybackich, co pewien czas znad wody dochodziły pokrzykiwania hiszpańskich rybaków.

- Jak tu romantycznie - Sally była oczarowana.

- Zależy. Kiedy już będzie pani lepiej rozumiała hiszpański, zdziwi się pani, jak grubiańskie są przekleństwa rybaków. Nie nadają się dla uszu damy.

Fernando wskazał na skórzaną sofę: - Nie zechciałaby pani usiąść?

Sally niemal utonęła w miękkich poduszkach.

- Szklaneczkę sherry?

- Ma pan rację. Powinno się pozostać przy specjalnościach kraju, w którym się człowiek aktualnie znajduje.

- To zależy od kraju.

Sally obserwowała go, gdy wlewał sherry do małych szklaneczek zbliżonych kształtem do tulipana.

- Słyszałam na przykład, że jedzenie w krajach arabskich jest straszne.

Fernando zaśmiał się i wlał sobie szampana.

- To prawda. Ale na tej wyspie są wspaniałe potrawy. Jarzyny przyrządza się tutaj tak smacznie, że po ugotowaniu czy usmażeniu nadal są chrupiące i soczyste. Włosi nazywają to *al dente*. Będzie pani miała potem okazję skosztować. Polecam również prosięta. Sama pani sprawdzi.

- Kto będzie gotował dla nas o tak późnej porze?

- Moja kucharka.

- Nie gotuje pan sam?

- Hiszpański szlachcic nie musi sam stawać przy piecu.

Sally zaśmiała się: - Nawet, jeśli jest głodny?

- Prawdziwy arystokrata jest ponad tak niskie odczucia jak głód czy pragnienie, gorąco czy zimno.

- Ładnie to brzmi, ale jest możliwe tylko wtedy, gdy służba dba, by tak pospolite odczucia w ogóle nie mogły zaistnieć, prawda?

Fernando skinął głową i uśmiechnął się. - I to też jest powód, dla którego my - arystokracja, tak bardzo trzymamy się starego porządku.

- Wyrazy podziwu. To wam się nawet nieźle udaje.

Fernando poddał się. Ta dziewczyna nie brała go na poważnie.

- Czy ten dom należy do pańskiej rodziny?

- Tak, ale mieszkam sam. Jestem ostatnim potomkiem naszego rodu. Jeżeli nie będę miał syna, to odnoga rodu Gomezów z Majorki będzie skazana na wymarcie.

Sally z trudem udało się powstrzymać uśmiech. Traktowanie poważnie Fernanda przychodziło jej z wysiłkiem.

- Ale proszę nie sądzić, że jestem zamożny. Mam tylko ten dom i dom w Madrycie. Dlatego muszę dodatkowo zajmować się interesami, na przykład nieruchomościami.

- Jak słyszałam, ma pan sukcesy na tym polu.

Podsunał salaterkę z prażonymi migdałami: - Taka jest opinia o mnie. Mam nadzieję, że to prawda. Ale pomówmy raczej o pani. Jak się pani pracuje w hotelu?

- Wspaniale. Dziękuję. Nie jest to ciężka praca. Czuję się tu bardzo dobrze.

- Podoba mi się, że w ramach studiów zajmuje się pani stopniem zanieczyszczenia środowiska. Gdybym tylko mógł pani pomóc w jakiś sposób, proszę mi dać znać.

- Dziękuję. Może mógłby mi pan pomóc przy sekcji kilku ryb i analizie chemicznej wątroby?

Fernando wykrzywił się: - Myślałem o czymś sensownym.

- Nie ma obawy. Żartowałam.

- Może byśmy coś zjedli? Słyszałem, że je pani kolację dość wcześnie.

Podał Sally rękę i poprowadził ją do dużej jadalni. Migocące światło świec rozjaśniało stare portrety rodzinne na ścianach.

- Czy to wszystko to pańscy przodkowie? - spytała Sally rozglądając się.

- Tak. Ale najlepszych mistrzów musieliśmy sprzedać przed kilkoma laty.

Gazpacho było dobrze schłodzone i bardzo smaczne.

- Jadła już to pani kiedyś? - spytał Fernando.

- Tak, ale w Kalifornii nie robi się tego ze świeżych jarzyn, tylko z soku z puszki.

- Tylko raz byłem w Ameryce, w Nowym Jorku. Za każdym razem podawano mi w restauracji brokuły. Straszne. Hamburger z brokułami, jajecznica z brokułami. Chyba nawet w lodach były brokuły. Może się pani cieszyć, że pracuje dla Roberta Haleya. - Fernando nieoczekiwanie zmienił temat. - Moim zdaniem jest dobrym biznesmenem.

- O ile wiem, pan Haley jest właścicielem kilku hoteli.

- Tak. Próbowałem nawet trochę z nim porozmawiać. Jestem zainteresowany kupnem tego hotelu. Ale Robert się waha. Poza tym nie jest jedynym właścicielem.

- Sześćdziesiąt procent ma Sam Hoffman. Znam go. Możliwe, że byłby skłonny go sprzedać, jeżeli cena będzie dobra.

Sally próbowała udawać zainteresowanie tym tematem. Ale naprawdę nie mogła zrozumieć, co było w tym ciekawego, że jeden biznesmen kupuje hotel od drugiego.

Dla Fernanda temat był wyraźnie ekscytujący. Dlatego Sally starała się być uprzejma.

- Dlaczego nie zrobi pan hotelu z tego domu? - spytała z uśmiechem.

Fernando popatrzył na nią zdziwiony. Sally miała wrażenie, że on sam nigdy o tym nie pomyślał.

- Niezły pomysł - powiedział powoli. - Ale sądzi pani, że jest wystarczająco duży?

Podano deser - salaterki z serem i świeżymi figami.

- To jest owczy ser z Minorki. Wspaniały, szczególnie gdy się go je ze schłodzonymi figami - stwierdził gospodarz.

Po deserze Sally wygodnie oparła się na krześle. Jedzenie było naprawdę rewelacyjne.

- Dziękuję. Nie będziemy już pana potrzebować - pożegnał Fernando lokaja, gdy ten sprzątał ze stołu.

Przez krótką chwilę milczeli.

- Celowo nie zamawiałem kawy - powiedział Fernando. - Na pewno będzie pani chciała zaraz pójść spać, skoro musi pani jutro wstąpić.

Sally nagle odczuła, że jest nieuprzejma. - Przepraszam bardzo za mój trochę dziwny rytm dnia. Normalnie nie psuję ludziom zabawy. Ale tu muszę też myśleć o studiach.

Fernando uśmiechnął się. - Może innym razem zostanie pani na dłużej. Bardzo się cieszę, że mnie pani odwiedziła. Oczywiście mój kierowca odwiezie panią z powrotem.

Podniósł się. Sally poszła za nim do hallu. Usłyszała zapuszczany silnik mercedesa.

- Dziękuję bardzo za sympatyczny wieczór - powiedziała.

- Było mi bardzo miło - Fernando uściśnął jej rękę. Stał na schodach i machał, gdy samochód ruszył.

Po niecałych dziesięciu minutach Sally była w hotelu. Czekwała na windę, gdy Robert z Judy wychodzili akurat z jadalni.

- Ależ wcześniej pani wróciła! - zawołała zdziwiona Judy.

- Tak. Ale to był cudowny wieczór. Chyba i Fernando nie jest nocnym Markiem.

- Nie miałyby pani ochoty napić się z nami przed snem? - zaproponował Robert.

- Nie, raczej nie. Chyba zaraz pójdę spać.

Robert skinął głową ze zrozumieniem.

Sally szykowała się do snu. Nagle zaśmiała się głośno. Jak to dobrze, pomyślała sobie, że nikt mnie tu nie słyszy. Chyba uznano by mnie za pomyloną. Ale to naprawdę było śmieszne. Młoda dziewczyna z Kalifornii spotyka się samotnie z ognistym Hiszpanem w jego domu i bez problemu wraca cała i zdrowa! Fernando nawet nie próbował ucałować jej dłoni.

Również następnego dnia Sally wstała przed wschodem słońca i zajęła się pracą badawczą. Zjadła śniadanie w kafeterii i poszła na plażę. Miała teraz lekcje jazdy na nartach wodnych. Ku swojemu zdziwieniu zobaczyła, że czeka na nią ponad dziesięć osób. Wszyscy chcieli być wprowadzeni w arkana ślizgania się po falach. Musieli jednakże zadowolić się stroną teoretyczną, ponieważ ani José, ani Facundo nie pojawili się.

Podczas wykładu Sally przyjrzała się dokładniej swoim uczniom. Niektórych znała już z widzenia, ale wiele twarzy było dla niej zupełnie obcych.

- Czy mieszka pan w naszym hotelu? - zwróciła się do młodego mężczyzny.

- Szczerze mówiąc, nie - odpowiedział z silnym akcentem szkockim. - Ale słyszałem, że można się tutaj nauczyć jeździć na nartach wodnych.

Sally nie wiedziała, co ma na to odpowiedzieć. Cieszyła się, że jest aż tyle osób chętnych do sportów wodnych i nie chciała gasić ich zapału.

- Nie chciałabym psuć państwu zabawy - powiedziała po chwili namysłu - ale mogę uczyć tylko gości hotelowych.

- Ale ja chętnie zapłacę za te godziny. Byłbym pani bardzo wdzięczny. Jestem z Glasgow. Tam nie można jeździć na nartach wodnych. Jestem tu tylko dwa tygodnie.

- Proszę się po prostu spytać w hotelu - zaproponowała Sally. - Jestem pewna, że znajdzie się jakieś wyjście.

Tej samej rady musiała udzielić kilkakrotnie w ciągu tego przedpołudnia. Szybko rozeszła się wiadomość, że młoda, ładna Kalifornijka uczy w hotelu Los Angeles. Sally bardzo pochlebiał ten sukces, ale jednocześnie miała nadzieję, że nie będzie zbyt przeciążona. Była zdecydowana nie zaniedbywać studiów.

Po południu poproszono ją, by nauczyła pływać trzyletnie dziecko. Rodzice słyszeli, że dzieci w tym wieku łatwo oswajają się z wodą. Ucieszyli się, gdy Sally potwierdziła tę opinię.

Siadła obok chłopczyka na stopniach basenu i razem z nim chlapała wodą. Dziecko piskało z radości i nie przejmowało się tym, że woda pryska mu na buzię.

- To decydujący moment - powiedziała Sally. - Również dorośli muszą oswoić się z wodą. Ale trwa to znacznie dłużej niż u małych dzieci. Następnym krokiem będzie całkowite zanurzenie głowy pod wodę.

Małemu golaskowi spodobało się również nurkowanie i po upływie pół godziny ku radości dumnych rodziców maluch poruszał się swobodnie i bez lęku w wodzie.

- Niewiarygodne! - matka nie mogła wyjść z podziwu. - Ja uczyłam się pływać, jak miałam dwadzieścia lat, i dopiero po kilku latach poczułam się naprawdę pewnie w wodzie. Nie przypuszczałam, że tak łatwo można się wyzbyć strachu przed wodą. Powinno się bardziej propagować naukę pływania małych dzieci. Matki nie musiałyby się bać na plaży o swoje pociechy i biegać za nimi krok w krok. Jestem dziennikarką i z przyjemnością napiszę do mojej gazety coś na temat pani pracy. Czy nie ma pani nic przeciwko temu?

Sally zgodziła się natychmiast. - Teraz będę jeszcze sławna - zażartowała. - Byłoby miło z pani strony, gdyby zechciała pani podać w tym artykule również nazwę hotelu. Dla jakiej gazety pani pracuje?

- Dla londyńskiej. Ale jestem przekonana, że po mojej informacji zainteresują się panią również inne gazety.

Nieoczekiwanie przyłączył się do nich Robert.

- Wszystko w porządku? - rozejrzał się promiennie dokoła.

- Oczywiście - odpowiedziała Sally. - Pani powiedziała mi właśnie, że jest z prasy i chętnie napisze coś na temat naszego hotelu.

- Mam nadzieję, że będzie to pochlebny artykuł.

- Nie ma obawy. Chciałabym napisać o niezwykłej pracy pańskiej młodej nauczycielki pływania.

Robert był zachwycony. - Im więcej reklamy dla hotelu, tym lepiej. A jeżeli Sally będzie miała dobrą prasę, to może przyjedzie do nas i w przyszłym roku.

Zgodnie z dzisiejszym rozkładem zajęć Sally nie miała już więcej uczniów. Postanowiła więc odpocząć chwilkę na tarasie i wypić drinka.

- Czy będzie pani przeszkadzało, gdy będę pani towarzyszył? - spytał uprzejmie Robert.

- Nie, przeciwnie.

Sally widziała, że Robert podchodzi do niej cały czas bardzo ostrożnie i delikatnie. W duchu miała nadzieję, że nie będzie tak na dłuższą metę. Jak miała mu dać do zrozumienia, że nie ma nic przeciwko jego próbom zbliżenia się, o ile tylko nie chodzi mu o przelotną przygodę.

Usiedli w cieniu kolorowego parasola i zamówili coś do picia.

- Wie pani, że czuję się jak pani agent? - spytał Robert po chwili.

Sally popatrzyła na niego ze zdziwieniem. - Jak mam to rozumieć?

- Pytało dzisiaj o panią przynajmniej z tuzin osób. Wszyscy chcą się uczyć u pani. Wielu mężczyzn pyta o lekcje francuskiego, a jeden chciał nawet, żeby go pani masowała.

- Bzdura! - Sally dopiero teraz zorientowała się, że Robert stroi sobie z niej żarty. - Pytali o nurkowanie i narty wodne, tak?

- Tak. Chciałem trochę pożartować. Ale teraz poważnie. Jeżeli popyt jest tak duży, powinniśmy jakoś go zaspokoić. Czy miałaby pani ochotę i czas uczyć również osoby spoza hotelu?

Sally zawahała się.

- Niech się pani nie martwi. Nie chcę, żeby się pani zapracowała na śmierć -
uspokoił ją Robert.

- Zgoda, jeżeli nie ucierpią na tym moje studia. Ale przydałoby się porozmawiać z
José i Facundo.

- Ich szybko przywołamy do porządku - Robert zaśmiał się. - Jutro punkt dziesiąta
będę na plaży. Jeżeli się spóźnię, popatrzę demonstracyjnie na zegarek, zmarszczę brew i
potrząsnę głową. A jeżeli to nie pomoże, sięgniemy po inne środki.

- Ale oni są naprawdę bardzo sympatyczni. Nie chciałbym, żeby stracili przeze
mnie pracę.

- Nie ma obawy. Wcale o tym nie myślałem. Żeby było jasne - jeżeli oprócz
naszych gości będzie pani uczyć turystów z zewnątrz, dostanie pani dodatkowy procent.

Przez chwilę milczeli i obserwowali ludzi na plaży i basenie.

- Jak się pani pracuje z Judy? - spytał Robert.

- Bardzo dobrze. Ale mamy niewielki kontakt z sobą. Prawie nic o niej nie wiem.

- Zapracowuje się. Nie pozwala sobie na najmniejszą przerwę i jest bardzo ambitna.
A jak się pani podoba Fernando?

Albo Robert nie jest ani odrobinę zazdrosny, albo jest tak znakomitym aktorem -
pomyślała Sally. Jego pytanie brzmiało zupełnie obojętnie i jakby od niechcenia. Sally
miała wielką ochotę wyciągnąć go z tej skorupy, w której się zamknął.

- Bardzo go lubię. Świetnie wygląda i przy tym jest po prostu boski. Hiszpanie
mają w sobie coś szczególnego. Instynktownie wyczuwają, czego potrzebują kobiety.

Sally wiedziała, że jej słowa były dobrze wymierzone. Robert zacisnął usta. Oczy
zweziły mu się w dwie wąskie szparki.

- To jakiś cud - ciągnęła dziewczyna i rozkoszowała się nie ukrywaną zazdrością
Roberta. - Tajemnicza siła, pozwalająca im omotać każdą kobietę. Ci mężczyźni dobrze
wiedzą, jak postępować z kobietą.

- Oczywiście - odburknął sarkastycznie Robert - ale tylko w przypadku turystek. W
stosunku do własnych señoritas zachowują się całkiem inaczej. Hiszpanki nie dają się
nabrać na słodkie słówka. Dlatego oni znajdują obce dziewczyny, które łatwo zwieść, dość
głupie. Hiszpanie to przebiegłe lisy. Dobrze wiedzą, gdzie szukać ofiary.

- W każdym razie było bardzo miło - upewniła go raz jeszcze Sally. Zamknęła oczy i udawała, że buja w romantycznych wspomnieniach.

- Cieszę się, że znalazła pani wreszcie mężczyznę swych marzeń - powiedział Robert. W jego głosie czuć było gorycz.

- Fernando to skarb. Wczoraj wieczorem wyśmienicie nam się rozmawiało. Ale nie potrzebuje się pan obawiać. Nawet nie próbował się zbliżyć.

Robert odetchnął z widoczną ulgą i odprężył się.

- Już poważnie obawiałem się o panią. Ostatecznie w pewnym sensie jestem odpowiedzialny za panią.

- Dziękuję bardzo, ale zupełnie dobrze uważam sama na siebie.

Robert zaśmiał się. - Fakt. Wróciła pani całkiem wcześnie.

- Fernando pożegnał się ze mną punkt wpół do jedenastej i kazał odwieźć mnie do domu. Coś takiego jeszcze mi się nigdy nie przytrafiło.

- Naprawdę? To podejrzane. Cóż on zamierza?

- Fernando jest po prostu idealnym dżentelmenem. Dzisiaj to bardzo mile widziane.

- Jako Australijczyk nic nie mogę powiedzieć na ten temat - drażnił ją Robert. - Nie znam się na tym. Ale chciałem panią trochę wybadać.

- Wolno panu. I tak panu nie zdradzę zbyt dużo.

- Czy będziemy mogli zjeść dzisiaj razem kolację? Zaprosiłem do stolika kilkoro naszych gości.

- Wspaniale. Im więcej nas będzie, tym weselej.

Pożegnali się. Sally wróciła na plażę. Podobała się jej zazdrość Roberta, ale wolała jej zanadto nie nadużywać. Chciała go zdobyć, a nie utracić.

5.

Tego wieczora postanowiła pracować w swoim pokoju aż do kolacji. Robiła notatki i oglądała pod mikroskopem próbki zebrane przez ostatnie dni. Kiedy wreszcie schodziła do jadalni, porządnie burczało jej w brzuchu.

Robert stał jeszcze z gośćmi przy barze. Sally stwierdziła, że zaprosił starsze małżeństwo z Manchesteru. Ci ludzie byli chyba od dłuższego czasu razem, bo zawsze wiedzieli wcześniej, co partner chce powiedzieć. Często wręcz wyjmowali sobie słowa z ust. On odpowiadał, gdy pytano o coś jego żonę, i na odwrót.

- To Sally Thompson - przedstawił Robert młodą Kalifornijkę.

Sally dowiedziała się, że są to państwo Lane.

- Często podziwialiśmy panią na nartach wodnych - zagaiła rozmowę pani Lane. - Popatrz, mówiłam do męża, czyż ona nie jeździ...

- ...wspaniale - Mr. Lane wpadł żonie w słowo. - Obserwując panią, marzyliśmy sobie o tym, że dobrze by było znowu być młodym.

- Moglibyśmy wtedy spróbować pojeździć na nartach - uzupełniła żona.

- Odwagi - powiedziała Sally. - Nie jesteście państwo tacy starzy. A jazda na nartach wodnych jest znacznie prostsza, niż się to wydaje.

Państwo Lane zaśmiali się. Jak wiele starszych ludzi cieszyli się, gdy przypisywano im pewne wysportowanie i sprawność, a nie spisywano już na złom.

- Napije się pani lampkę sherry? - spytał Robert.

Sally potrząsnęła głową. - Nie, dziękuję. Zaraz będzie kolacja.

- Mam wrażenie, że nasza rusalka jest głodna - zaśmiał się Robert.

- Nie ma się czemu dziwić - wzięła ją w obronę pani Lane.

- ...kiedy cały dzień jest się w ruchu - dokończył jej mąż.

Sally poczuła się winna. - To prawda. Gdy jestem na świeżym powietrzu, mam niesamowity apetyt. A dzisiaj nie zdążyłam nic przegryźć po południu, co zwykle robię.

Państwo Lane roześmiali się słysząc tak nieoczekiwane wyznanie, ale Robert zmarszczył z namysłem czoło. - Może pani nie jest jedyną osobą, dla której kolacja jest za późno. Niewykluczone, że i inni goście mają podobne odczucia.

- Nam to nie przeszkadza - zapewniła pani Lane.

- ...ale jeszcze późniejsza pora kolacji byłaby uciążliwa - wpadł jej w słowo pan Lane.

- Poproszę Judy, by spytała pozostałych gości o zdanie - zastanawiał się Robert. - Taka drobnostka może niektórym ludziom zepsuć nastrój urlopowy. To nie problem, żeby zaczynać kolację trochę wcześniej. A i personel byłby szybciej wolny.

- Amerykanom tak późna kolacja na pewno nie odpowiada - zauważyła Sally. - Są przyzwyczajeni jeść wcześniej. Na przykład od ubiegłego roku w stołówce uniwersyteckiej kolacja jest już o wpół do piątej. Tak sobie zażyczyli studenci.

- Państwo Lane mają w Anglii duże biuro podróży. A tutaj tak im się podoba, że od przyszłego roku chcą zamieścić wyspę i nasz hotel w folderach na lato - wyjaśnił Robert.

- Wspaniale! - Sally szczerze się ucieszyła. - Czy mówił już pan o mojej tajnej misji?

- Nie. Jeszcze nie zdążyłem. Poza pracą w hotelu Sally bada stan morza w tej okolicy. Chce zrobić raport naukowy o stopniu skażenia środowiska. Przesłał ją tutaj pewien profesor z Kalifornii.

Sally przytaknęła. - Badam zanieczyszczenie morszczyzny i zdrowie zwierząt morskich.

- Bardzo ciekawe - stwierdził pan Lane. - Niestety, ani w katalogach, ani w prospektach nie wolno pisać o czystości wód w określonym miejscu. Klient mógłby sobie pomyśleć, że morze w innych regionach nie jest takie czyste.

- Ale chyba wolno panu pisać o przejrzystej wodzie i kryształowym powietrzu? - dopytywała się Sally.

- To niewątpliwie może przyciągnąć klientów. - Państwo Lane zaśmiali się.

Wreszcie rozległ się gong i wszyscy przeszli do jadalni.

- Gdzież się podziewa Judy? - zdziwił się Robert.

Sally przypuszczała, że zajmuje się garderobą, by móc zjawić się na kolacji późno, ale olśniewająco.

W tym momencie zadzwieczał telefon przy barze. Barman podniósł słuchawkę. Robert spojrzał na niego pytająco. Gdy barman skinął głową, Robert wstał podszedł do aparatu. Po krótkiej rozmowie wrócił do stolika.

- Judy nie będzie jadła razem z nami. Boli ją głowa.
- Biedactwo - powiedziała Sally - Czy można coś dla niej zrobić?
- Sądzę, że nie. Jeśli zażyje tabletkę i pójdzie wcześniej spać, to na pewno do rana będzie wszystko w porządku.

Kelner przyniósł wino. Sally była tak głodna, że nawet nie ruszyła oliwek, orzeszków i prażynek. Odłamała sobie kawałek apetycznego chrupiącego pieczywa i zabrała się z przyjemnością do zakąski. Było jajko faszerowane plasterkiem smażonej nerki.

- W Los Angeles jedzenie było znakomite - powiedziała pani Lane. - Szczerze mówiąc, tutaj w Hiszpanii jest jakby zbyt proste.

- Ale nie tak złe jak w Anglii - dokończył jej mąż.

- Była pani kiedyś w Anglii? - spytała pani Lane Sally.

- Nie, dotychczas jeszcze nie. Ale chciałabym poznać kiedyś ten kraj. Czy jedzenie rzeczywiście jest takie złe, jak to się zwykle mówi?

- Niestety tak. Chyba, że idzie pani do drogich, luksusowych restauracji. Również prywatnie w domach je się dobrze.

Gdy Sally zaspokoila pierwszy głód, poczuła się znacznie lepiej. Udało jej się nawet nie przerywać rozmowy z państwem Lane, co wcale nie było takie proste.

- Są jakieś specjalności kalifornijskie? - zainteresowała się pani Lane.

Sally zastanawiała się gwałtownie. Nie zauważyła do tej pory jakiegoś jedzenia typowo kalifornijskiego. W San Francisco było dużo rybnych restauracji. Ale czy te dania były typowe dla Kalifornii?

Nagle przyszło jej coś do głowy. - Abalone! - zawołała. - To rodzaj muszli. Skorupki można zabrać i wypolerować. Są bardzo ozdobne.

Robert zaśmiał się wesoło. - Ale kto by jechał do Kalifornii z powodu kuchni. Inne rzeczy są tam znacznie bardziej pociągające.

- Tak? Co na przykład? - zainteresowali się państwo Lane.

- Dziewczyny. W Kalifornii są najładniejsze, najszcuplejsze i najbardziej wysportowane dziewczyny na świecie.

Państwo Lane zaśmiali się ubawieni, ale nie podjęli tematu.

W trakcie kolacji Robert zabawiał ich relacjami ze swojej ojczyzny - z Australii. Opowiadał o Bondi Beach i sławnym Great Barrier Riff. Sally była rozczarowana, że nie umiał powiedzieć nic na temat dzikich obszarów kraju. Potem pomyślała sobie, że Australia i Ameryka mają pewną wspólną cechę - ponad siedemdziesiąt procent ludności mieszka w miastach. Zdecydowana mniejszość żyje na łonie natury.

Po kolacji wszyscy przeszli na taras na kawę i likier. Sally zamówiła sobie *creme de menthe*, rodzaj likieru miętowego. Była zadowolona, że światło przyćmiono, bowiem w przeciwnym razie Robert mógłby zauważyć, że nie może oderwać od niego wzroku.

Państwo Lane jak na komendę podnieśli się punkt wpół do jedenastej. Niemal równocześnie przeprosili, że to już czas iść spać.

Gdy małżeństwo było poza zasięgiem głosu, Robert popatrzył rozbawiony na Sally. - Cóż to za para! Zachowują się jak bliźnięta syjamskie. Że też małżeństwo może tak upodobnić ludzi do siebie!

Sally potrząsnęła w zamyśleniu głową.

- Dlaczego nie, jeżeli im się to podoba. Podziwiam tych ludzi. Widać, że są ze sobą szczęśliwi. Każdy powinien żyć, jak mu się podoba i jak uważa za słuszne. Przecież małżeństwo to nic złego. Ale dla mnie tak ścisły związek chyba nie byłby najlepszy. Potrzebuję swobody.

- Ja również - Robert uśmiechnął się. - Ale ta wolność też nie może być zbyt duża.

- Ma pan rację. Moim zdaniem musi to być możliwe, żeby kochać kogoś, a jednocześnie nie niszczyć swojej osobowości.

Robert popatrzył w oczy dziewczyny. - Nie sądziłem, że ma pani tak dokładną wizję dobrego małżeństwa.

Spojrzenie Roberta speszyło Sally.

- Ja też nie. A pan? Myślał pan kiedyś o ożenku?

- Tak, czasami. Ale mógłbym ożenić się tylko z kobietą, którą naprawdę kocham. Musiałaby też dzielić moje zainteresowania. Chciałbym, żebyśmy nie byli dla siebie tylko mężczyzną i kobietą, ale prawdziwymi przyjaciółmi.

Przez moment milczeli.

- Czy widziała już pani mój pokój? - spytał Robert po chwili.

Olbrzymie drzewo ocieniające taras w ciągu dnia, szeleściło cicho przy lekkiej wieczornej bryzie.

- Nie, jeszcze nie. Na pewno z góry ma pan wspaniały widok.

- To prawda. Mam też likier miętowy. Może wstąpiłaby pani do mnie na chwilkę przed snem? Miałaby pani ochotę?

Sally zawahała się przez moment. Z trudem opierała się pokusie.

- Ludzie wezmą nas na języki.

- Nie szkodzi. Ostatecznie nie mamy nic do ukrycia.

Robert ujął ją za rękę i pociągnął delikatnie do windy.

Sally zaśmiała się nerwowo. - Nie, faktycznie nic nie mamy do ukrycia.

Robert przycisnął guzik windy i po chwili byli w korytarzu wysłanym grubym dywanem. Otworzył drzwi i przepuścił Sally przodem.

- Jak tu pięknie - dziewczyna stanęła zaskoczona. Przez olbrzymie okna można było zobaczyć taras.

Widok był czarujący. Srebrzyste światło księżyca odbijało się w morzu, w oddali mrgały tajemniczo latarnie łodzi rybackich.

Za plecami Sally Robert włączył muzykę. Delikatne południowe rytmy wypłynęły z kilku ukrytych głośników.

- Ma pani ochotę na likier miętowy? Czy raczej na coś innego?

- A mogłabym prosić kieliszek czerwonego wina?

Robert zapalił światło i Sally rozejrzała się po pokoju.

Umeblowanie było podobne do tego z hotelu, ale osobowość gospodarza dawała tu znać o sobie. Na ścianie przy kominku wisiała skóra kangura.

- Czy to pana rodzice? - Sally wskazała na fotografię w ramce.

- Tak. Oboje niestety nie żyją.

- Jest pan zupełnie sam na świecie?

- Niezupełnie. Mam młodszego brata i wuja, którego bardzo lubię. A pani?

- Moi rodzice zginęli przed rokiem na regatach żeglarskich.

- Straszne. Czyli oboje jesteśmy sierotami.

Sally rozejrzała się po mieszkaniu Roberta. Odkryła prawdziwy bumerang. Dotychczas uważała tę broń za nieszkodliwą zabawkę. Ale teraz zobaczyła, jak groźne mogą być jej ostre brzegi.

- Jeżeli ktoś umie się tym posługiwać, to bumerang staje się niebezpieczną bronią myśliwską - wyjaśnił Robert. - To bardzo pomysłowy wynalazek. Jeżeli nie trafia do celu, to wraca do osoby rzucającej i nie zostawia żadnych zdradzieckich śladów.

Obok dużego okna na taras Sally spostrzegła sztalugi przykryte folią.

- Mogę zajrzeć? - spytała.

Odsłoniła folię i popatrzyła na obraz. Był to widok z tarasu na północny fragment wybrzeża.

- Jeszcze nie jest gotowy - pospieszył Robert z wyjaśnieniem.

- Ale jest śliczny! Nie wiedziałam, że pan jest artystą.

Robert zaśmiał się. - Artysta to przesada.

- Czy będę mogła zobaczyć ten obraz przy dziennym świetle?

- Kiedy tylko pani sobie życzy - odpowiedział nalewając wino.

- Wyśmienite - Sally skosztowała wina i z lubością zamknęła oczy.

- Australijskie. Pochodzi z farmy mojego wuja i absolutnie nie jest na sprzedaż.

- To chyba zależy od ceny, prawda?

- Nie. To wino może być jedynie ofiarowane dobrym przyjacielom.

Płyta się skończyła i zapanowała nagle cisza.

Sally odstawiła kieliszek i zwróciła głowę w kierunku Roberta. Zauważyła, że ją obserwował. Poczula się nieswojo.

- Myślę, że będzie lepiej, gdy sobie pójdę - powiedziała niepewnie. - Rano muszę wczesnie wstać.

Twarz Roberta zachmurzyła się na myśl, że tak szybko chce go opuścić.

- Co pani właściwie robi tak wczesnie rano?

- Patroszę ryby.

- Po co?

- Żeby zbadać ich wnętrze.

- Chce pani przepowiadać przyszłość?

Sally z uśmiechem potrząsnęła głową. - Nie. Potrzebne mi to do analizy chemicznej. Ale proszę się nie obawiać. Robię to szybko i nie brudzę. Szef kuchni nie ma nic przeciwko temu. A gdy przychodzi reszta personelu, ryby już od dawna leżą wypatroszone i czyste w lodówce. Mam nadzieję, że panu to również nie przeszkadza?

- Nie. Oczywiście, że nie. Dobrej zabawy.

Urok chwili i romantyczny nastrój prysnęły. Robert uprzejmie otworzył drzwi.

- Myślę, że trafi pani - powiedział z chłodnym uśmiechem.

Sally była zdziwiona i rozczarowana, że na pożegnanie nawet nie próbował jej pocałować. Wahala się przez moment, ale Robert wyglądał, jakby stracił całe zainteresowanie jej osobą.

- Dobranoc - powiedział krótko.

- Do jutra. - Sally czuła się oszukana. Wiedziała, że popełniła poważny błąd.

Dlaczego tak go odepchnęła? A może on po prostu wcale nie miał zamiaru jej pocałować?

Czasem Sally była nieszczęśliwa, że jest kobietą i całą inicjatywę musi zostawić mężczyźnie. Oczywiście, że istniały sposoby, by kobieta dała mężczyźnie do zrozumienia, że jej na nim zależy. Ale tego wieczoru zachowała się chyba całkiem źle.

Gdy Sally wychodziła z windy, natknęła się na Judy.

- Przeszedł pani ból głowy?

- Dziękuję. Wyjdę trochę na świeże powietrze. Winda jedzie do góry?

- Nie, na dół.

Judy popatrzyła oschle i weszła do kabiny. - Jakby specjalnie dla mnie - powiedziała ze sztucznym uśmiechem.

Sally doskonale wiedziała, co Judy pomyślała sobie o niej. Ale przecież była dość wczesna godzina. Nie było w tym nic niestosownego, że o tej porze wychodzi z mieszkania Roberta. Na pewno nie była jedyną dziewczyną przyjmowaną na górze.

Tej nocy Sally nie mogła zasnąć. Niespokojnie przewracała się z boku na bok. Dlaczego Robert pożegnał ją tak gwałtownie? Cały czas wyobrażała sobie, jak by to było, gdyby ją delikatnie pocałował i objął. Jej serce przepełniała gorycz.

Następnego ranka o wpół do szóstej Sally poszła na targ rybny przy porcie. Panował tam ożywiony ruch - gospodynie domowe i kucharze hotelowi z całej okolicy zaopatrywali się w świeże ryby.

Sally była zaskoczona wielością towaru na straganach. Olbrzymie chłodnie stały już załadowane. Zawoziły towar do Palmy, gdzie popyt na ryby był wyjątkowo duży. Dziewczyna słyszała, że część ryb przekazywano do fabryki konserw albo je wędzono.

Niestety nie można już było kupować ryb bezpośrednio z łodzi. Minęły już te czasy, gdy po przetańczonej nocy czekało się w porcie na wracających rybaków i targowało z nimi o cenę ryb. - Niewątpliwie ciężko pracujący rybacy nie byli zadowoleni, gdy turyści bez przerwy przeszkadzali im w wyładunku łodzi. Kupowanie ryb z łodzi było teraz oficjalnie zabronione. Każdy chodził na targ.

Sally nie miała trudności z wyborem. Kazała po prostu zapakować sobie po jednej sztuce z każdego gatunku ryb, muszli i innych stworzeń morskich.

Duży koszt na zakupy pożyczony w kuchni szybko wypełnił się po brzegi. Dźwigała go z trudem. Zadowolona wracała do domu, żeby jak najprędzej zabrać się do pracy. Dla kogoś innego byłoby to na pewno wstrętne zajęcie, i do tego przed śniadaniem. Sally nacinała i patroszyła śliskie ryby rutynowo i bez specjalnych odczuć.

Czytała kiedyś, że skomplikowane operacje chętnie przeprowadza się wcześniej rano. Teraz zrozumiała dlaczego - o wschodzie słońca myśli jej były jasne i nie zakłócone pośpiechem dnia. Sally pracowała szybko i precyzyjnie. Przez godzinę wypatroszyła wszystkie ryby i przygotowała próbki. Gdy kucharki zaczęły się schodzić, ona właśnie kończyła.

- Na co to się nada? - pytały ciekawe Hiszpanki. - Chce pani gotować?

Sally nie była w stanie wyjaśnić im, że rozcina ryby ze względów naukowych. Ta odrobina hiszpańskiego, którą sobie przyswoiła, absolutnie nie wystarczała, by wytłumaczyć sens pracy. Mimo to robiła, co mogła.

- Badam ryby, żeby sprawdzić, czy są w dobrym stanie - powiedziała łamaną hiszpańszczyzną.

- *Si, si, son buenos*. Dobrze są! Dziś rano złowione!

Kobiety uważały poranną pracę Sally w kuchni za równie śmieszna i bezsensowna, jak wieczne opalanie się i kąpanie turystów. Zamiary naukowe Sally były im tak obce, jak rozwód czy skąpe bikini wczasowiczek.

Dziewczyna włożyła wypatroszone ryby do zamrażarki i starannie umyła ręce. Wzięła notatki i próbki z materiałem badawczym i poszła do pokoju. Postanowiła

oddać ubranie do pralni, żeby pozbyć się zapachu ryb. Wzięła prysznic, umyła głowę, po czym wtarła w siebie sporą ilość wody kolońskiej. Chciała mieć pewność, że jej poranne zajęcia nie zostawiły żadnych przykrych śladów.

Odświeżona i pełna zapału do pracy zeszła na śniadanie. Jak zwykle Judy zjawiła się w kafeterii chwilę później. Zamówiła kawę i przysiadła się do Sally. O tej porze obie panie były jedynymi gośćmi. Byłoby niegrzecznie, gdyby Judy nie dołączyła do stolika Sally. Dzisiaj ewidentnie nie była w najlepszej formie. Schroniła się za gazetą i prawie się nie odzywała.

Sally nagle zrobiło się jej żal. Judy była troszkę starsza i na pewno w wielu sprawach znacznie bardziej doświadczona. Sprawiała jednak wrażenie osoby niezadowolonej ze swego życia.

Co ją męczyło? Może chodziło o sprawy osobiste, o których nie chciała rozmawiać. Sally pomyślała, że dobrze by było ożywić ją trochę.

- Nie ma pani ochoty pojeździć dzisiaj trochę na nartach? - zapytała z lekkim wahaniem.

- Absolutnie nie. Nie mogę sobie na to pozwolić - westchnęła Judy i potrząsnęła głową. - Wystarczy, że nie ma mnie pół godziny w biurze, a w hotelu wszystko się przewraca do góry nogami. Robert byłby niepokieszony.

- Na pewno nie miałby nic przeciwko temu, żeby pani zrobiła sobie krótką przerwę. Ale możemy go spytać na wszelki wypadek. O ile go znam, to na pewno się ucieszy, kiedy pani choć trochę się odpręży.

- Zobaczymy - Judy znowu zagłębiła się w lekturze gazety.

Sally poddała się. Judy nie było łatwo pomóc.

Zgodnie z umową Robert był na plaży punktualnie o dziesiątej.

- Dzień dobry, Sally! - zawołał. - A gdzie są José i Facundo?

- Przypuszczam, że w łóżku. Punktualność nie jest ich mocną stroną. Ale tak to już jest w Hiszpanii.

Sally dyskretnie przyglądała się Robertowi. Bardzo dobrze wyglądał w czarnych obcisłych kąpielówkach.

- Zanim doczekamy się tych dwóch, może zepchniemy motorówkę do wody i pojeździmy trochę na nartach - zaproponował po chwili.

Sally błyskawicznie przygotowała łódź do startu.

- Chce pan zacząć?

- Kobiety mają pierwszeństwo.

- Ale uroda ustępuje przed wiekiem - przekomarzała się Sally.

- No dobrze. Proszę rzucić mi linkę.

- Zaczyna pan z plaży czy z wody? - Rozbawiona obserwowała, jak Robert z zakłopotaniem ogląda swe bosc stopy.

- Nie umiem z plaży - powiedział niepewnie.

Sally musiała się roześmiać.

- Muszę pana tego kiedyś koniecznie nauczyć.

Popatrzył na nią z wdzięcznością: - Zawsze chciałem to umieć. To wygląda bardzo elegancko. Jest pani niewątpliwie dobrą nauczycielką, ale tym razem zacznę może z wody.

Wszedł do morza. Sally wolno uruchomiła motor. Lina była napięta. Na znak Roberta dała gazu. Dobrze jeździł na nartach. Widać było, że porusza się pewnie i z doświadczeniem.

Po kilku rundach dokoła zatoki Sally podплыnęła motorówką do brzegu i przygotowała się do zmiany.

- Proszę pokazać te pani sztuczki - poprosił Robert.

- Dobrze. Niech pan patrzy. Ale musi pan jednocześnie uważać na mnie i na łódź.

- Wiem. Będę ostrożny.

Sally lekko weszła na plaży na narty i rozpoczęła jazdę. Po kilku okrążeniach Robert podprowadził ją na płytką wodę.

Tymczasem zjawili się José i Facundo.

- *Buenos dias, señor* - popatrzyli niewinnie na Roberta.

- *Buenos dias?* Mielście chyba na myśli *buenos tardes?* - zawołał i demonstracyjnie popatrzył na zegarek.

- *Si, si, buenos tardes* - zawołałi zachwyceni Hiszpanie, jakby podziwiali jego znajomość hiszpańskiego.

Robert bezradnie popatrzył na Sally, która z trudem powstrzymywała śmiech.

- Co ja mam na to powiedzieć? - zrezygnowany wzruszył ramionami. - Przecież obaj mają zegarki. Ale oni żyją według innego pojęcia czasu.

Odwrócił się, poszedł w stronę hotelu. Po chwili zawrócił.

- Miałaby pani ochotę zjeść ze mną obiad w Sea Club? - zaproponował.

- Gdzie to jest?

- Pięć minut stąd samochodem. O pierwszej będę czekał na panią w hallu.

- Muszę się jakoś specjalnie ubrać?

- Niekoniecznie. Do zobaczenia.

Sally przez moment popatrzyła zachwycona na jego wysoką, szczupłą sylwetkę.

Żeby już było południe!

Koło pierwszej Sally przebrała się. Do białych spodni włożyła luźną niebieską bluzkę bawełnianą.

Robert czekał już na nią. Ku jej zaskoczeniu mieli na sobie dokładnie te same kolory.

- Czyżbyśmy pracowali w tej samej firmie? - zażartował.

Poszli na parking i wsiedli do białego samochodu sportowego. Robert zapuścił motor i nacisnął guzik. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki dach auta odsunął się, wpuszczając słońce do środka.

- Trochę świeżego powietrza dobrze nam zrobi - zauważył. - Praktyczne. Prawda?

- Bardzo, jeśli nie pada.

Wyjechali poza teren należący do hotelu i skręcili w kierunku wsi.

- Dokąd mnie pan uprowadza?

- Do Sea Club, małego hoteliku prowadzonego przez Angielkę - Norę Cumberland.

Jest położony bardzo malowniczo i w każdym calu jest dokładnym przeciwieństwem naszego hotelu.

Jechali ulicą wzdłuż morza. Po chwili znaleźli się przed śnieżnobiałą willą w stylu mauretańskim. Malowniczy stary dom był oddalony niecałe pięćdziesiąt metrów od wody. Tu jednak nie było plaży. Skały ostro wchodziły w głębinę morza.

- W tym miejscu najchętniej pływam - rozmarzył się Robert. - Nie ma nic piękniejszego niż nurkowanie z góry do turkusowozielonej wody.

- Wyobrażam sobie. Ja też najchętniej pływam na głębokiej wodzie. Przypuszczam, że w pobliżu skał jest dużo ryb.

- To prawda. Ale nie dają się złowić. Chyba jeszcze nikomu nie udało się złapać ryby gołą ręką.

- Owszem. Nie słyszał pan nigdy o „łaskotaniu pstrągów”?

Robert popatrzył na nią z niedowierzaniem. - Chyba znowu chce mnie pani nabrać?

- Nie, naprawdę nie. Trzeba położyć się przy strumieniu i trzymać wyciągniętą rękę przy dnie. Gdy pstrąg będzie przepływał nad ręką, wystarczy go odrobinę połaskotać. Wtedy bez trudu daje się złapać i wyjąć z wody.

Robert był sceptyczny. - Nie wiem. Nie słyszałem o czymś tak dziwnym.

Wysiedli z samochodu i podeszli do pięknej willi. Ładne wejście zaprowadziło ich na dziedziniec ocieniony wysokimi palmami. Wzdłuż białego muru kwitły kwiaty grające całą gamą barw oraz egzotyczne krzewy o oszałamiającym zapachu. W przewiewnym miejscu pod parasolami stało parę stolików. Kilkoro gości jadło właśnie obiad.

Olbrzymia różnica w porównaniu z naszym hotelem - pomyślała dziewczyna. - U nas o tej porze panuje duży ruch, a tutaj jest wręcz niebiański spokój.

Do Roberta i Sally podeszła kobieta w średnim wieku. Była delikatna, ładna i bardzo gustownie ubrana. Miała w sobie coś, co sprawiało, że od razu wiedziało się, że jest Angielką.

- Halo, Robert! Czy to pańska nowa sekretarka?

- Nie, Noro. To Sally Thompson. Dbą o sportową stronę wypoczynku naszych gości.

- Wspaniale. Latem sprawia to niewątpliwie dużą przyjemność. Co mogę państwu podać? Sangrię czy coś innego?

- Ja poproszę sangrię - powiedziała Sally. - O tej porze po czymś innym jestem ociężała. A po obiedzie mam jeszcze lekcje nurkowania.

- Ma pani rację. Też jestem zmęczona po zbyt dużej ilości alkoholu w południe. Ale Robert woli z pewnością zimną rurę.

- „Zimną rurę”? Co to jest? - spytała zdziwiona dziewczyna.

- Tak nazywamy w Australii butelkę dobrego zimnego piwa - wytłumaczył Robert ze śmiechem. - To jedno z najważniejszych i najczęściej używanych wyrażen w moim języku.

Usiedli w ocienionym miejscu w rogu dziedzińca. Palmy cicho szumiały na lekkim wietrzyku.

- Jak idą interesy? - spytała Nora przynosząc napoje.

- Wynajęliśmy wszystkie pokoje. Na szczęście sami mili goście i niezbyt dużo dzieci. A tutaj? - Robert rozejrzał się dokoła.

- My też mamy komplet gości. Dzieci nie ma w ogóle. Przyjmujemy tylko dorosłych.

- Na ten luksus można sobie pozwolić tylko w małych hotelach. My nie mamy nic przeciwko małym gościom, ale czasem są bardzo głośni i niespokojni.

- Człowiek z przyjemnością obserwuje własne dzieci, gdy trochę szaleją. Wtedy nie przeszkadza ich hałas i krzyki. Ale dokazywanie cudzych dzieci zwykle jest uciążliwe dla gości. Sally, co pani robi w Kalifornii?

- Prawie to samo, co tutaj. Dużo chodzę na plażę. A poza tym studiuję.

- Jaki kierunek?

- Oceanografię. Interesuje mnie życie nad morzem i w morzu. Dlatego tutaj jestem. W pewnym sensie środowisko naturalne jest tu nie naruszone, a woda czysta.

Nora i Robert popatrzyli na siebie wiele mówiącym wzrokiem.

- Czy coś jest nie w porządku? - spytała niepewnie Sally.

- Ależ nie - odpowiedziała Nora. - Musi pani jednak wiedzieć, że nie na całej wyspie wybrzeże jest takie czyste. Główna rzeka wpływa do morza obok zatoki. Wszystkie ścieki idą do morza, więc woda tutaj pozostaje względnie czysta. Wystarczy, żeby przeszła się pani do kolejnej zatoki, a tam sytuacja jest zupełnie inna.

- To niesamowite! - Sally była wstrząśnięta.

- Przykro mi, ale to prawda. Wszystkie ścieki z wyspy odprowadzane są do morza, a rząd się tym nie interesuje. Moim zdaniem jest to skandal.

Sally była przerażona. - Ale wyspa żyje przecież z turystów. Jak osoby odpowiedzialne za to mogą być tak krótkowzroczne?

Nora wzruszyła ramionami. - Tacy już są ludzie. Trudno z nimi rozmawiać. Mają swoje własne poczucie godności.

- Ale to się wkrótce zmieni - stwierdził Robert. - Nowoczesna cywilizacja nie zatrzyma się przed tą wyspą. Na wszystko potrzeba czasu.

Nora westchnęła. - Aha, chciałam pana zapytać. Czy zna pan bliżej tego Fernanda Gomeza?

- Jadłem z nim raz kolację. Poza tym próbował uwieść Sally.

- Niech mu pani nie wierzy - zaprotestowała dziewczyna ze śmiechem. - Fernando zaprosił mnie po prostu do siebie do domu, to wszystko.

- Interesował się moim hotelem - kontynuowała zamyślona Nora.

- Naprawdę? Mnie też pytał, czy nie byłbym skłonny sprzedać hotelu - powiedział Robert. - Ale o szczegółach jeszcze nie rozmawialiśmy. A pani?

- Też nie. Przedstawił mi jedynie propozycję. Ale ja nie zamierzam sprzedawać. Mam wrażenie, że Fernando chce zająć się obrotem nieruchomościami na wielką skalę.

- To i dobrze - Robert zajął się na moment piwem. - Mam nadzieję, że nie skręci karku. To bardzo zawile rzemiosło.

- Jak to? - spytała Sally.

- Rząd uważnie się przygląda wszystkim obcokrajowcom, którzy chcą kupić grunty na wybrzeżu. W razie konieczności obrony całe wybrzeże przechodzi na własność państwa. Dlatego też zakup ziemi wiąże się tu dla obcych z pewnym ryzykiem. Trzeba uważać, by nie być oszukanym. A im bardziej zawile układy, tym większa sposobność do robienia nieczystych interesów.

Podano jedzenie. Sally stwierdziła z wielką radością, że *lasagne* było bardzo smaczne. Na dzisiaj miała dość ryb.

Pogawędka z Robertem w cienistym ogrodzie sprawiała Sally prawdziwą przyjemność. Czas mijał zbyt szybko. Dziewczynie zrobiło się smutno, gdy musieli wyjść.

- Proszę mnie kiedyś odwiedzić - zaprosiła Nora na pożegnanie. - Również bez szefa. Pani będzie tu zawsze mile widzianym gościem.

- Wyobrażam sobie. Będziecie mogły obgadać mnie bez przeszkód - Robert mrugnął do obu pań.

Po kilku minutach byli z powrotem w hotelu.

- Nie miałyby pani ochoty zjeść ze mną kolacji gdzieś poza hotelem dla odmiany? - spytał nieoczekiwanie Robert, gdy żegnali się w hallu.

Sally była tak zaskoczona, że nie odpowiedziała od razu. Oczywiście, że najchętniej od razu by się zgodziła. Ale czy ostatnio nie za często się widywali?

Jej wahanie wprowadziło Roberta w zakłopotanie.

- Naturalnie nie musi pani - powiedział rozczarowany - jeżeli jest to dla pani zbyt uciążliwe.

- Ależ przeciwnie! - Sally popatrzyła radośnie na niego. - Mam nawet ogromną ochotę.

- Naprawdę? Będę czekał na panią o ósmej.

Gdy Sally schodziła o ósmej na dół, Robert jak zwykle już czekał. Błękitna koszulka bardzo korzystnie podkreślała jego głęboką opaleniznę. Wyglądał dzisiaj znacznie atrakcyjniej niż zwykle.

Mieli właśnie iść na parking, gdy Judy wyszła z biura. Zdziwiona popatrzyła na Roberta.

- O, jest pani! - zawołał do niej. - Wszędzie pani szukałem. Dzisiaj będzie pani musiała zostać sama na placu boju. Chcę pokazać Sally okolicę.

Judy wyglądała na bardzo rozczarowaną, ale natychmiast się opanowała.

- Oczywiście powiedziała zdecydowanie. - Proszę nie martwić się o mnie.

- Gdyby coś się wydarzyło, będziemy w restauracji Brentano. Ale proszę dzwonić tam tylko wtedy, gdy będzie to absolutnie konieczne.

Sally żałowała, że zrobiła Judy. - Może nie powinniśmy zostawiać jej samej - powiedziała wsiadając do samochodu.

Robert skrzywił się. - O mój Boże! Przecież nie jest sama! W hotelu jest ponad trzysta osób. Codziennie, prawie co wieczór jestem razem z nią. Chyba czasem wolno mi wyjść bez niej?

- Z pewnością ma pan rację. Ale była taka smutna, jak wychodziliśmy. Zupełnie jak mała dziewczynka, która musi sama zostać w domu.

- Sally, jest pani bardzo litościwą duszą. Ja też nie jestem z kamienia. Ale dzisiaj wieczorem chcę być tylko z panią. Czy to źle?

- Ależ nie. Przeciwnie. - Sally promieniała radością. - Postaram się jakoś zabawić pana. Opowiedzieć coś panu o wyopatrzonych rybach i wątrobach?

Robert otrząsnął się z obrzydzeniem. - Nie! Bardzo proszę. Nie musi pani. Ale wracając do Judy - jest naprawdę bardzo miła, chociaż nie mogę pozbyć się wrażenia, że ze wszystkich sił usiłuje złapać męża. Nie może się z tym pogodzić, że się w niej nie

zakochałem. Jeśli mam być szczerzy, to muszę przyznać, że uważałem ją za bardzo atrakcyjną kobietę. Zanim pani się nie pojawiła. Ależ mój Boże, Judy ma dopiero 27 lat. Nie ma najmniejszego powodu, żeby wpadać w panikę. - Przy tych słowach serce Sally zaczęło bardzo mocno bić. Ale wzruszyła ramionami.

- Kto wie, co ona przeszła - starała się mówić bardzo spokojnie.

- A wie pani, że w restauracji Brentano podają wyjątkowo smaczne dania rybne? Śledzie marynowane i zupy rybne są naprawdę wspaniałe.

- Musimy to jeść? Najchętniej zjadłabym hamburgera - powiedziała, gdy zorientowała się, że Robert drażni się z nią.

- Ja miałbym raczej ochotę na zupę ogonową z kangura.

- Tęskni pan za domem?

Robert jechał wolniej, gdyż ulica była dość stroma. Po obu stronach drogi ciągnęły się pola z kwitnącą lucerną.

- Trochę - przyznał. - Ale da się wytrzymać. Na tej wyspie czuję się bardzo dobrze.

- Popatrzył na nią z boku i uśmiechnął się.

Sally nic nie odpowiedziała, ale w duchu przyznawała mu rację. Ona też była tu szczęśliwa.

Patrzyła na jego opalone ręce oparte na kierownicy. Były bardzo delikatne. Prawdziwe ręce artysty.

Sally oparła się swobodnie w fotelu. Jazda w mroku sprawiała jej przyjemność, a przy tym ani przez moment nie traciła Roberta z oczu.

Dojechali na miejsce. Restauracja Brentano położona była bardzo malowniczo. Mieściła się w niewielkiej twierdzy wzniesionej kiedyś chyba do obrony przed piratami. Stare mury zostały pieczołowicie odrestaurowane i przekształcone na wykwintny lokal.

Właściciel restauracji chyba dobrze znał Roberta. Wchodzącą parę skierował od razu do stolika w zacisznym miejscu.

- Mamy ochotę na porządny kawałek mięsa - powiedział Robert. - Ma pan Chateaubriand?

- Oczywiście. Dla dwóch osób? Jak przyrządzić?

- Krwisty w środku - odpowiedział Robert.

- A dla mnie dobrze wysmażony - sprzeciwiła się Sally.

Robert popatrzył na nią trochę dziwnie. - Tego chyba nie da się zrobić.

Sally nie mogła powstrzymać się od śmiechu. - Żartowałam. Oczywiście, że najsmaczniejsze jest mięso nie wysmażone. Ale chciałam zobaczyć pana minę.

Kelner spytał jeszcze o pozostałe życzenia gości i zniknął w kuchni. Robert zamówił butelkę czerwonego hiszpańskiego wina.

- Sally, proszę teraz szczerze. Co pani sądzi o winach hiszpańskich?

- Smakują mi. Są lekkie, a to mi odpowiada. Istnieją co prawda lepsze gatunki, ale te tutejsze dobrze pasują do potraw. Przed kilkoma dniami zauważyłam, że miejscowi rozcieńczają wino wodą.

- To prawda. Ten zwyczaj jest dość rozpowszechniony na Majorce. Jak wszędzie, tak i tutaj, jakość wina zależy od klimatu. Słońce świeci prawie zawsze i zbiory są na tym samym poziomie. Dlatego i wino smakuje podobnie każdego roku. Tutaj można produkować dobre gatunki, nie ma złych roczników, ale nie ma też bardzo wykwintnych.

- Czytałam gdzieś, że dobre wino musi walczyć o przetrwanie. W Burgundii nigdy nie wiadomo, kiedy zaczną się nocne przymrozki. Plantatorzy próbują możliwie długo nie obrywać gron. Daje to potem doskonały aromat.

- Nie znam się na tym.

- W Kalifornii często rozmawia się o winie. Może mamy za dużo czasu? - Zaśmiała się Sally. - Bez przerwy mówimy o joggingu i o winie.

- Zawsze to lepiej niż rozmawiać o trzęsieniu ziemi - skomentował Robert.

Sally rozejrzała się dokoła. Robert zaprosił ją do lokalu dla osób o wysokich wymaganiach. Goście siedzący przy stolikach byli bardzo wytwornie ubrani. Dziewczyna zastanawiała się, czy restauracja ma takie samo powodzenie również zimą.

- Jak tu jest w styczniu? - spytała.

- Nic się nie dzieje. Wyspa jest jak wymarła.

- A pogoda?

- Zupełnie znośna. Czasem oczywiście pada. Gdy ma się pecha, można trafić na dłuższy okres zimna. Jest to niesympatyczne, gdyż tutejsze domy nie są przystosowane do chłódów. Prawie nie ma centralnego ogrzewania. Jest to również przyczyną, że niewiele osób przyjeżdża do nas zimą. Młodzi nie mają tu co robić, a starszym kaszlącym Anglikom brak jest ciepłych kominków.

- Czyli tylko w lecie jest tu tak pięknie. Pytam z konkretnego powodu.

- Latem jest jasno i przyjemnie. Człowiek jest lekki i energiczny. Zimą życie tutaj jest raczej smutne. Wtedy nagle odkrywa się wszelkie niedogodności i minusy.

- Dziwne. Życie właściwie zawsze powinno sprawiać radość, przez cały rok, nie tylko, kiedy jest ciepło, i nie tylko w czasie urlopu. Wcale nie jest dobry podział na pracę i czas wolny, na rzeczy przyjemne i nieprzyjemne.

- Moim zdaniem większość ludzi wcale nie stara się tak sobie ułożyć życia, żeby zawsze czuć się szczęśliwym. Nawiasem mówiąc podziwiam panią w tym względzie. Kocha pani morze i udaje się pani połączyć z nim całe życie. Dlatego jest pani zawsze szczęśliwa i zadowolona i nie czeka, jak inni ludzie, bez przerwy na urlop.

- Chciałabym, żeby miał pan rację - westchnęła Sally.

- Jak to? Coś jest nie tak?

- Właściwie nie. Ale i ja mam swoje problemy. Samo studiowanie jest przyjemne, ale nie tak łatwo znaleźć pracę, która łączyłaby się z miłością do wody.

Robert uśmiechnął się do niej. - Proszę się nie martwić. O ile panią znam, uda się wszystko, do czego się pani zabierze. Przy takim wyglądzie na pewno znajdzie pani pracę.

- Dowcipne - Sally skrzywiła się. Ale życie na Majorce było zbyt miłe i nieskomplikowane, żeby martwić się w taki wieczór jak ten.

W rogu sali jakiś Hiszpan zaczął śpiewać, akompaniując sobie na gitarze. Sally przysłuchiwała się przez chwilę.

- Przecież to same piosenki południowoamerykańskie - stwierdziła. - Czy nie ma żadnych pieśni typowych tylko dla Majorki?

- Oczywiście, że są. Ale nie znajdzie ich pani na liście przebojów. W wielu sprawach jesteśmy trochę w tyle za nowoczesnym światem. Do dzisiaj może nikt by nie słyszał o Majorce, gdyby nie przyjechała tu kiedyś George Sand z Chopinem. Jest tutaj trochę sławnych ludzi, ale mieszkają po drugiej stronie wyspy.

- Z dala od wielkiego gwaru, prawda?

Robert skinął głową.

Chateaubriand przyrządzony był znakomicie i rozwiął szybko smutne myśli o przyszłości. Na zakończenie Robert zamówił *creme caramel*, deser typowo hiszpański.

Było jeszcze dość wcześnie, gdy zadowoleni opuszczali restaurację. Nie chcieli jednak tak szybko zakończyć wspólnego wieczoru.

- Nie miałyby pani ochoty na dyskotekę? - zaproponował Robert.

Sally słyszała od gości coś niecoś o lokalu „Annabell”. Nie miała nic przeciwko temu, żeby zobaczyć go na własne oczy. Normalnie nie chodziła zbyt często do dyskoteki. Powietrze było fatalne, a muzyka za głośna. Krzesła były zazwyczaj niewygodne, a rozmowa z kimś po prostu niemożliwa.

- Zna pani te wszystkie nowoczesne tańce? - zapytał Robert, gdy schodzili po schodach do piwnicy, z której rozbrzmiewała muzyka.

- Właściwie niewiele się od siebie różnią - odpowiedziała Sally. - To całe podskakiwanie ma tyle wspólnego z tańcem, co gwizdanie z arią operową.

Po dwudziestu minutach mieli już dosyć. Chcieli wyjść z dyskoteki, zanim zupełnie ogłuchną.

Robert skierował samochód na parking za hotelem. Znowu nacisnął guziczek i dach auta zamknął się nad nimi. Nieoczekiwanie zrobiło się zupełnie ciemno.

- No to jesteśmy z powrotem - powiedział.

- Jak tu cicho teraz. - Sally jakby nie miała zamiaru wysiadać.

Nagle Robert chwycił ją w ramiona i przycisnął do piersi. Jakżeż długo marzyła o tej chwili! Sally namiętnie odwzajemniła jego długi i delikatny pocałunek.

- Moja mała - szeptał bez tchu - czy ty naprawdę nie widzisz, jak bardzo cię potrzebuję?

Sally zapomniała o całym świecie. Szczęśliwa leżała w jego ramionach.

- Chodź - poprosił - pójdziemy do mnie. - Nikt nic nie zauważy. A jeżeli nawet, to o co chodzi.

W dziewczynie coś zamarło. Gwałtownie wyswobodziła się z jego ramion. Tak bardzo tęskniła za jego bliskością, jego czułością. Ale nie w ten sposób. Możliwe, że ją bardzo lubił. Może nawet był w niej zakochany. Ale jej to nie wystarczało. Ze smutkiem spostrzegła, że oczekiwała więcej, niż on mógł jej dać. Co będzie, gdy on już dostanie to, czego chce?

- Nie - powiedziała cicho, ale stanowczo. Starła się z całych sił nie ulec jego pieszczotom.

- Co się dzieje? Nie lubisz mnie? - Robert odwrócił się od niej rozczarowany.

Sally wysiadła.

- Nie sądzi pani, że jest trochę nazbyt skromna i pruderyjna? - spytał gorzko w drodze do hotelu.

- Może. - Sally poruszała się sztywno jak manekin.

Zdenerwowany Robert nacisnął przycisk windy. Gdy wchodzili do kabiny, Judy przechodziła akurat przez hall. Popatrzyła na nich bez słowa.

- Przykro mi, że zawsze kończy się tak nieprzyjemnie - powiedziała Sally wychodząc na czwartym piętrze.

- To pani tego chce - Robert obojętnie wzruszył ramionami. Drzwi windy zasunęły się.

Dziewczyna pobiegła do pokoju i wybuchnęła płaczem. Taki piękny wieczór! A ona wszystko popsuła. Czy rzeczywiście była zbyt pruderyjna? Dlaczego on tego nie rozumie? Czy on nie widzi, że ona naprawdę go kocha? Czy jest na tyle ślepy, że nie zauważa, że chodzi jej o coś więcej niż tylko o przelotny związek? Chce tylko wakacyjnej przygody?

Dopiero po kilku godzinach Sally zapadła w głęboki sen.

6.

Następnego dnia kilka listów czekało w recepcji na Sally. Przez pierwsze dni nie było do niej żadnej poczty, a dzisiaj uzbierał się mały stosik.

Joe pisał, że mu jej bardzo brak i że boi się, by nie zakochała się na Majorce w innym mężczyźnie.

Było kilka listów od przyjaciół ze studiów oraz pismo od profesora Parkera z kilkoma dobrymi radami. Ostatni list, w kopercie z czerpanego papieru, był z biura adwokackiego zajmującego się sprawami spadkowymi. Zawierał informacje od notariusza, że po zakończeniu wszelkich niezbędnych formalności Sally może liczyć na sumę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów. Oprócz tego jej ojciec ulokował kolejne dwanaście tysięcy dolarów w Hiszpanii. Przekazanie tej sumy do Kanady wiązałoby się z dużą stratą spowodowaną panującymi przepisami dewizowymi. Dlatego też notariusz doradzał zostawienie tych pieniędzy w Hiszpanii i spożytkowanie ich na miejscu.

W ciągu dnia Sally długo zastanawiała się, co ma zrobić z tą sumą. Początkowo przyszła jej do głowy myśl, że najlepiej będzie przez kilka lat spędzać urlop w Hiszpanii i w ten sposób stopniowo wydać te pieniądze. Mogłaby zwiedzić Andaluzję, Malagę, Sewillę, Granadę i Cordobę. Marzyła o flamenco, walce byków i dzikich koniach. Potem zdała sobie sprawę, że postąpiłaby bardzo lekkomyślnie pozbywając się w ten sposób odziedziczonych pieniędzy. Lepiej byłoby ulokować gdzieś tę sumę. Szkoda, że zupełnie nie znała się na operacjach finansowych.

Późnym popołudniem dziewczyna postanowiła przejść się trochę po okolicy. Spacerowała wzdłuż plaży w kierunku portu. Przechodząc koło Sea Club przypomniła sobie o zaproszeniu Nory i weszła do środka.

- Jak to miło, że naprawdę pani przyszła - Nora szczerze się ucieszyła widząc Sally. Siedziała na wspaniałym dziedzińcu swej willi i piła herbatę. Poprosiła dziewczynę, by przysiadła się do stolika. - Dużo pracy ma pani w hotelu?

- W granicach normy. A ja kocham wodę.

- Proszę nie zapominać o nawilżaniu skóry kremem - doradziła Nora.

- Dziękuję, pamiętam o tym. Właściwie to śmieszne, że akurat woda wysusza skórę, prawda?

- Faktycznie, ale na dłuższą metę rzeczywiście niszczy ją bardzo. Niech pani uważa też ze słońcem. Najlepiej, gdyby pani zakładała jakąś koszulkę na kostium kąpielowy.

- Jedzenie u pani było znakomite - pochwaliła Sally.

- Cieszę się. Uważam, że oboje wspianiale do siebie pasujecie.

Sally zaczerwieniła się. - O kim pani myśli?

- O pani i Robercie. Wręcz idealna para. Ma pani ochotę na herbatę z cytryną?

- Chętnie.

- Robert jest wyśmienitą partią. - Nora podjęła temat. - Co prawda ojciec nie zostawił mu w spadku majątku, ale mężczyźni, którzy nie muszą pracować, nie są wiele warci. Robią się zbyt wygodni i ociężali. Wiem, bo sama byłam trzykrotnie zamężna.

- Trzy razy?

- Tak. Robert opowiadał mi, że straciła pani rodziców. Bardzo panią lubi i zależy mu na tym, żeby czuła się pani dobrze na wyspie.

Sally poczuła, że krew napływa jej do twarzy. - Tak pani myśli?

- Mam wrażenie, że jest w pani bardzo zakochany. Ale z takim mężczyzną jak on nigdy dokładnie nie wiadomo, jak się sprawy mają. Doskonale potrafi się opanować.

- Wydaje mi się, że kobiety bardzo ułatwiają mu życie. - Sally starała się, by jej głos brzmiał możliwie obojętnie. - Rzucają mu się do nóg tylko dlatego, że jest przystojny i ma kilka hoteli.

- Niewątpliwie ma pani rację, ale cóż to szkodzi? Kiedyś wreszcie trafi na tę właściwą kobietę. A dlaczego nie miałyby to być pani?

Sally zaśmiała się. - Dla pani to wszystko jest takie proste.

Nora uśmiechnęła się, ale po chwili znowu spoważniała.

- Nie, po prostu nazywam rzeczy po imieniu. W wypadku Roberta powinna pani zadziałać. Tak przystojnego mężczyzny nie znajdzie pani szybko. Poza tym jest bardzo uczuciowy i ma zdolności artystyczne.

Sally wolała zmienić temat.

- Nie wie pani, jak najlepiej ulokować pieniądze w Hiszpanii? - spytała. - Po ojcu zostało mi tu w spadku dwanaście tysięcy dolarów, a ja nie wiem, co mam z tym zrobić.

- Szczerze mówiąc, nie najlepiej znam się na sprawach finansowych. Radziłabym pani zwrócić się z tym do Roberta albo do Fernanda Gomeza.

- Dobry pomysł. Ale muszę już wracać. Kolację mam jeść razem z szefem.

- I tak co wieczór?

Dziewczyna skinęła głową. - Prawie zawsze.

Nora obserwowała ją z uśmiechem. - Sami?

- Nie, zwykle z Judy.

Nora spoważniała. - Z Judy? Niech pani uważa, ona może robić pani konkurencję.

- Nie sądzę, praca pochłania ją całkowicie.

Nora machnęła ręką. - Znam ją. Chce po prostu zrobić dobre wrażenie na Robercie.

- Może. Ale nie wygląda na osobę szczęśliwą.

Sally wstała.

- Będę uważać - powiedziała na odchodnym.

Gdy wracała do hotelu, słońce skryło się już za horyzontem. W pokoju zajęła się przez chwilę książkami i dopiero potem przebrała się do kolacji.

Nagle zadzwonił Robert.

- Niestety będzie pani musiała zjeść dzisiaj kolację beze mnie.

- Stało się coś? Jest pan chory?

- Jeśli mam być szczerzy, to chciałbym być po prostu w domu. Posłuchać muzyki, poczytać.

- Ale przecież musi pan coś zjeść. - Sally była bardzo rozczarowana, lecz miała nadzieję, że on tego nie zauważy.

- Każę sobie przynieść coś na górę.

- Co pan czyta ciekawego? - Sally chciała porozmawiać z nim chociaż przez chwilę.

- Marcela Prousta. - Robert nie był zanadto rozmowny.

- Podoba się panu?

- Według mnie trochę przesadza. Ale bardzo dobrze ukazuje cały przesyt i nudę mieszczaństwa w dziewiętnastym wieku. Z przyjemnością go czytam. A jak mam dość, to nakładam płytę i słucham trochę muzyki.

Sally usłyszała gong.

- Muszę zejść do jadalni - powiedziała.

- Proszę łaskawie powiedzieć Judy, że boli mnie głowa - poprosił Robert. - Ona jest taka wrażliwa.

Po chwili Sally siedziała już na dole. Judy przysłała jak zwykle spóźniona i Sally zaczęła już jeść.

- Dobry wieczór. A gdzie jest Robert? - usłyszała za sobą głos Judy.

- Powiedział, że boli go głowa i nie będzie mógł przyjść.

Judy była zaskoczona. - A cóż to ma znaczyć?

- Nie wiem. Może jest umówiony?

Judy popatrzyła nieufnie na Sally. - Możliwe. Ale z kim?

- Przecież to nie ma znaczenia. - Sally znowu zajęła się jedzeniem. - A jak minął pani dzień? - spytała po chwili.

- Strasznie, jak zwykle - po głosie Judy znać było zmęczenie.

- Niepotrzebnie tak się pani przejmuję skargami gości. Niech pani robi, co trzeba, i nie bierze sobie tak wszystkiego do serca.

- Ma pani rację. Ale łatwiej powiedzieć, niż zrobić - wyglądała, jakby miała lada moment się rozplakać.

- A może przydałby się pani urlop? - zapytała z uśmiechem Sally. - Lato dobiega końca, będzie pani mogła trochę się odprężyć. Mogę panią nauczyć jeździć na nartach wodnych.

- Już umiem.

- A nurkowanie?

- Sport mnie nie interesuje. Cały dzień mam do czynienia z ludźmi, którzy pływają, nurkują, jeżdżą na nartach wodnych. Powoli zaczyna mnie to drażnić. Nie mogę ścierpieć tego wczasowego uśmiechu gości i natychmiastowego wpadania w zły humor, gdy tylko jakiś drobiazg jest nie w porządku. Czuję nad sobą miecz Damoklesa. Goście myślą, że mogą popuścić wodzy nerwom, bo płacą za wszystko. A ja zawsze muszę być miła i uprzejma.

- Dlaczego nie zacznie pani robić czegoś innego, jeżeli jest pani tak niezadowolona?

- To nie takie proste. Jakoś muszę zarabiać na życie.

- Ale przecież na pewno znalazłoby się inne zajęcie.
- W dzisiejszych czasach kobiecie nie jest tak łatwo znaleźć inną pracę.
- Może pani studiować i kształcić się - zaproponowała Sally.
- Nie mam ochoty. Najchętniej wyszłabym za męża. Chciałabym mieć kogoś, kto będzie o mnie dbał. Chociaż jako nowoczesna kobieta nie powinnam tego w ogóle głośno mówić. Ale taka jest prawda.

Sally nie wierzyła własnym uszom i chyba w jej wzroku widać było to zdziwienie.

- Teraz uważa mnie pani za szaloną. - Judy wzruszyła ramionami. - Ale jest mi to najzupełniej obojętne.

- Mnie może pani powiedzieć - uspokoiła ją Sally. - Ale niech pani tego w żadnym razie nie mówi mężczyznom. Panowie natychmiast wpadają w panikę, gdy kobieta robi zamach na ich wolność.

- Możliwe. Widać to choćby po Robercie. A mógłby być takim dobrym mężem. Ale jemu nawet przez myśl nie przeszło, żeby się ożenić.

Po posiłku obie panie wyszły na moment na taras.

- Mówiła pani kiedyś, że chętnie gra w tenisa. - Sally podjęła przerwany temat. - A nie dałoby się zrobić czegoś sensownego w tym kierunku?

- Może, ale trzeba być supergwiazdą.

- Mogłaby pani pracować w klubie tenisowym albo otworzyć butik tenisowy. Może sprzedając rakiетки do tenisa znajdzie pani mężczyznę swych marzeń?

Zmówiły kawę i likier anyżowy. Księżyc wisiał nisko nad morzem, a na ciemnym niebie błyszcząły gwiazdy.

- Dobry wieczór paniom - powiedział nagle wysoki szczupły mężczyzna. To był Fernando.

- Halo, Fernando! - zawołała Sally. - Proszę się przysiąść do nas.

- Z przyjemnością. Byłem na spacerze i pomyślałem sobie, żeby tu zajrzeć. A gdzie jest Robert?

- Nie czuje się dziś najlepiej - wytłumaczyła go Sally.

Kelner przyniósł brandy dla Fernanda.

- *Salud, pesetas, y tiempo para gustarlos* - powiedział Hiszpan unosząc kieliszek.

- Co to znaczy? - spytała Sally.

- Zdrowia, bogactwa i wystarczająco dużo czasu na ich używanie - zaśmiał się Fernando.

Przy sąsiednim stoliku Sally zauważyła nieśmiałego młodego człowieka, który rano pierwszy raz próbował jeździć na nartach wodnych. Siedział zagubiony spoglądając niepewnie na ich stół.

- Ależ prosimy do nas - powiedziała Sally.

Wstał i podszedł bliżej. Sally wiedziała, że jest Anglikiem. Był przystojny, miał na sobie granatowy blezer i jasnoszare spodnie z flaneli. Gęste blond włosy opadały mu bez przerwy na czoło nadając jego twarzy młodzieńczy wygląd. Według Sally był naukowcem. O ile dobrze wiedziała, nie był żonaty.

- To Judy Robinson, pan Fernando Gomez, a ja jestem Sally Thompson. O, przepraszam, ale chyba znowu zapomniałam pańskiego nazwiska.

- John Nugent - odpowiedział z uśmiechem.

- Czy mogę zaprosić pana na drinka? Był pan wspaniałym uczniem i zasłużył pan sobie na niego.

- Dziękuję. To tylko dlatego, że miałem tak rewelacyjną nauczycielkę - odpowiedział szarmancko.

Wywiązała się ożywiona rozmowa. Koło wpół do jedenastej Sally poczuła się zmęczona i pożegnała się. Ale wcześniej poprosiła na bok Fernanda.

- Proszę mi powiedzieć, czy za dwanaście tysięcy dolarów można kupić domek na Majorce?

- Przy odrobinie szczęścia...

- Szukam czegoś takiego. Czy mógłby pan mieć to na uwadze?

- Zobaczą, co się da zrobić. Dla tak pięknej kobiety mogę uczynić wszystko.

7.

Gdy następnego dnia Sally wróciła z plaży, przekazano jej, że dzwonił Fernando.

- Czy mówił, o co chodzi? - spytała w recepcji.

- Nie, tylko że prosi o telefon.

Sally wykręciła numer Fernanda.

- Mieszkanie señor Gomeza - zgłosił się spokojny głos służącego.

- Czy mogę mówić z señor Gomezem? - spytała Sally. Za moment Fernando był przy aparacie.

- Halo, Sally. Czekałem na pani telefon. Proszę powiedzieć mi bliżej, jakiego typu dom chciałaby pani kupić.

Sally powiedziała o spadku i chęci ulokowania tych pieniędzy na Majorce.

- W zasadzie nie zajmuję się tak drobnymi sprawami, ale gdy usłyszę o czymś takim, natychmiast dam pani znać.

W południe Sally zauważyła, że Judy siedziała przy stoliku z Johnem Nugentem. Oboje pochłonięci byli rozmową.

Przez cały dzień Robert nie pokazał się ani razu. Dopiero przed kolacją zjawił się promienny i jak zawsze w dobrym humorze.

- Lepiej się pan dzisiaj czuje? - zainteresowała się Sally.

- O wiele lepiej. Ale oto i Judy.

Judy wyglądała dziś wyjątkowo ładnie. Ubrana była w śliczną sukienkę i nie znać było na niej nawet śladu zmęczenia.

- Pozwól, Robercie, zaprosiłam gościa do naszego stolika. - Z jej uśmiechu zniknęła poprzednia sztuczność. - Oto on - pan John Nugent.

Robert uściśnął dłoń młodego człowieka. - Cieszę się. Z przyjemnością poznam pani przyjaciół.

John usiadł przy stole. Miał na sobie lekki lniany garnitur, i krawat harmonizujący z błękitną koszulą.

- Mam nadzieję, że to nie ze względu na mnie założył pan krawat - zaśmiał się Robert. - W moim przypadku to taki mały trik. Noszę krawat, żeby goście mogli

powiedzieć: spójrz ten mężczyzna pod krawatem, to nasz dyrektor. Uważam go za część stroju roboczego.

Nalał wszystkim wina.

- A wie pan - spytał - że my tu w czwórce jesteśmy jedynymi ludźmi stanu wolnego w całym hotelu? Pomijając oczywiście dzieci.

- Niestety tak - odpowiedział John.

Wszyscy popatrzyli na niego.

- Niestety? Dlaczego pan tak mówi?

John uśmiechnął się. Chyba nie było mu miło, że zwrócił na siebie uwagę. Zdaniem Sally był bardzo sympatyczny. Oceniała go na jakieś 35 lat. Nie mogła zrozumieć, dlaczego tak przystojny mężczyzna jest nadal kawalerem.

- Myślę, że tak w duszy to każdy chciałby ożenić się i założyć rodzinę - odpowiedział skromnie.

- Nie jestem tego taki pewien - odparł Robert. - Wszyscy chcielibyśmy być szczęśliwi w małżeństwie. A to duża różnica.

- Moim zdaniem, to jest to samo - stwierdził John.

- Ależ pan jest naiwny - zawołała impulsywnie Sally. - Nie wie pan, że na przykład w Kalifornii rozwody dochodzą do prawie pięćdziesięciu procent?

- A może oznacza to po prostu, że ludzie są na tyle odważni, że nie zniechęcają się niepowodzeniem i dalej szukają tego czy tej jedynej - zastanawiał się John.

- Możliwe. Ale wszyscy aż za dobrze znamy skutki wielu rozwodów - kontynuowała Sally.

Judy dotychczas milczała. - Ale moim zdaniem właśnie małżeństwo daje najlepszą podstawę do szczęśliwego życia.

- Też tak myślę. - John popatrzył na nią z wdzięcznością.

- To dlaczego jest pan do tej pory kawalerem? - spytała zaczepnie Sally.

- Ponieważ dotychczas nie znalazłem odpowiedniej kobiety.

- Nie ma obawy. Kiedyś na pewno spotka pan kobietę swych marzeń, która pana okiełzna i roztrwoni pana majątek - powiedział Robert.

- Ależ pan jest cyniczny! - Sally sama była zaskoczona goryczą wyczuwalną w jego głosie.

- A nie mam racji? - Robert starał się omijać jej wzrok. - Do czego jest mi potrzebna żona? Mam wszystko, czego dusza zapagnie: szybki samochód sportowy, masę pracy i malowanie. Czegóż można chcieć więcej? Kobieta tylko by przeszkadzała.

- A jest pan szczęśliwy? - dopytywał się John.

- Oczywiście. Dlaczego by nie?

- Życie z kochaną kobietą mogłoby pana uczynić jeszcze szczęśliwszym - upierał się John. - Może pan po prostu nie zauważa, że panu czegoś brakuje?

- A co pan robi na starość? - Judy spojrzała pytająco na Roberta.

- Zawsze mogę się ożenić, jak zacznę tęsknić za towarzystwem. Strach przed samotnością na starość nie może być powodem do ożenienia się. Wszyscy kiedyś czujemy się samotni. A życie toczy się dalej.

- Nora Cumberland była trzykrotnie mężatką - wtrąciła Sally.

- I mimo to jest sama. Ale to absolutnie nie oznacza, że jest samotna.

- Według przeprowadzonej ankiety ludzie są najszczęśliwsi zaraz po ślubie i jeszcze nie mający dzieci - powiedział John.

- Widzi pan - triumfował Robert. - W tym sęk! Jak tylko pojawia się dziecko, kończy się zabawa.

John potrząsnął głową. - Nie, nie. Moim zdaniem nawet najbardziej nieudane małżeństwo lepsze jest od życia starego kawalera.

Ożywioną rozmowę przerwało podanie kolacji.

- Kim pan jest z zawodu? - Sally popatrzyła na Johna znad talerza. - Ale proszę pozwolić mi zgadnąć. Jest pan inżynierem?

- Nie trafiła pani. Jestem prawnikiem - zaśmiał się i zwrócił do Judy: - A jak to właściwie jest z panią? Tu w hotelu ma pani naprawdę ciężką pracę. Czy pani to sprawia przyjemność?

Judy popatrzyła na niego. - Kocham moją pracę, ponieważ mam dzięki niej kontakt z wieloma ludźmi. Cieszy mnie, gdy przychodzą do mnie z prośbami i skargami, a ja mogę im pomóc.

Mina Roberta wyrażała zdziwienie. Ale zanim zdążył coś powiedzieć, zaczął mówić John: - Przy okazji przyszło mi do głowy, że to trochę irytujące, że w hotelu nie ma soku ze świeżych pomarańczy, tylko z puszki.

- Hiszpanie eksportują za granicę prawie wszystkie pomarańcze - Robert bezradnie wzruszył ramionami. - Tak jak i awokado. Pasiono tym świnie do czasu, gdy ktoś odkrył, że ci dziwaczni turyści płacą za nie dużo pieniędzy.

- Wszystko jest kwestią podaży i popytu - stwierdziła Judy. - I to obojętne, czy chodzi o pomarańcze, awokado czy lekcje jazdy na nartach wodnych.

- Czy o ślub też? - spytał Robert przekornie.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, Sally również. Śmieszne - pomyślała w duchu - że od kiedy znam Roberta, myślę tak dużo o małżeństwie.

Nie mogła rozgryźć tego człowieka. Jaki on właściwie jest? Czy miał złe doświadczenia z kobietami i dlatego teraz boi się trwałych związków? Może po prostu czeka na kobietę swych marzeń? A może chce tylko używać życia i obawia się przyjąć na siebie jakąkolwiek odpowiedzialność?

Wydawało się, że Judy znalazła wreszcie właściwego mężczyznę. Była zachwycona Johnem Nugentem. Miejmy nadzieję, że nie wypali zbyt wcześnie ze swymi marzeniami o małżeństwie i nie wystraszy go tym - pomyślała Sally.

Po kolacji wyszli na chwilę na taras. Nie zdążyli jeszcze usiąść wygodnie w wyścielanych krzesłach, gdy podszedł do nich mężczyzna z olbrzymimi wąsami.

- Halo, Mr. Edwards - przywitał go Robert. - Jest pan zadowolony z jedzenia?

Judy zachmurzyła się. Wystarczająco dobrze знаła pana Edwardsa, który użalał się z powodu każdego drobiazgu i właściwie nic mu się nie podobało.

- Było całkiem dobre - odpowiedział. - Ale chciałem zwrócić państwa uwagę na jedną sprawę.

- Proszę mówić - zachęcił go Robert.

- Chodzi o masło. Nie jest solone.

- To prawda - odpowiedział uprzejmie Robert. - Potrzebujemy kilku dni, żeby się do tego przyzwyczaić. Ja do dzisiaj czasem solę sobie masło. Cóż, inny kraj - inne jedzenie. Tak to już jest.

- Dobrze, dobrze. Nie może pan jednak wymagać ode mnie, żebym na te kilka tygodni przestawił całe swoje życie.

- Oczywiście, że nie. Jeżeli się mieszka tu latami, tak jak ja, to musi się wymyślić jakiś sposób na pogodzenie własnych przyzwyczajeń ze specyfiką kraju. Ale na urlopie

szuka się zazwyczaj jakiejś odmiany, czegoś nowego. Zobaczą naturalnie, co będę mógł zrobić dla pana.

- Nie o to mi chodziło. Chciałem po prostu powiedzieć państwu o tym - Mr.

Edwards wstał z godnością i wrócił do swojej żony.

- Niech sobie pan wyobrazi, że ktoś taki jest pani mężem - powiedział ze śmiechem Robert. - W porównaniu z Mr. Edwardsem jestem niemal cudowną partią, prawda Sally?

Sally ucieszyła się, że taras nie był jasno oświetlony, bo zaczerwieniła się po czubek głowy, gdy Robert popatrzył na nią wiele mówiącym wzrokiem.

- Nie byłabym tego taka pewna - odpowiedziała opanowując się. - Może on ma jakieś ukryte zalety?

- A skąd pani wie, że ja nie mam żadnych? - zaprotestował natychmiast Robert.

Znam je aż nazbyt dobrze - pomyślała dziewczyna. Jego zachowanie wprawiało ją w zakłopotanie. Robert zawsze był bardzo miły w stosunku do niej, wydawało się, że nie jest w stanie zmącić jego dobrego humoru. Ale to nie przesądzało o niczym. Robert był miły dla wszystkich. Sally dużo by dała, żeby się dowiedzieć, co on naprawdę czuł do niej.

Ktoś z obsługi przerwał tok jej myśli.

- Señorita Sally, telefon do pani!

Przeprosiła i weszła do budynku. Dzwonił Fernando.

- Mam dwa domy, które mogłyby panią zainteresować. Musi je pani obejrzeć.

- Chętnie. Ma pan jutro czas?

- Tak. Czy mógłbym przyjechać po panią o wpół do pierwszej?

- Wspaniale, będę gotowa.

Fernando pożegnał się i Sally wróciła na taras.

- Dzwonił Fernando - powiedziała w odpowiedzi na pytające spojrzenia.

- Jeden z wielbicieli - zauważył ironicznie Robert. - To Hiszpan. Przeprowadził się właśnie na wyspę. Do tego dużego białego domu na wzgórzu.

- Chyba wiem, o kogo chodzi. Czy ten pan nie był przed kilkoma dniami w hotelu? - spytał John.

- Był - Robert skinął głową. - Chce kupić nasz hotel.

- Sprawia wrażenie zapobiegliwego biznesmena. Nie wie pan, czy ma wspólników?

- O nikim nie wiem.

- Zaprosił mnie kiedyś do siebie do domu - zaczęła mówić Sally, bo wiedziała, że Roberta to denerwuje. - Był po prostu boski.

- Dużo ma służby? - dopytywał się John.

- Kucharkę, szofera i lokaja. Nikogo więcej nie widziałam.

John kiwnął głową. Sprawiał wrażenie bardzo zainteresowanego osobą Fernanda.

- Jest bardzo szarmancki, prawda?

- Tak, bardzo - potwierdziła Sally. - Chociaż niektóre jego poglądy są mocno osobliwe.

- Na pewno w duszy tęskni pani za prawdziwym Australijczykiem żyjącym w zgodzie z naturą - Robert uśmiechnął się do niej. - Wyglądamy na szorstkich, ale serca mamy gołębie.

Sally udawała, że nie usłyszała tej uwagi.

- Zdecydowałam się na kupno małego domku w tej okolicy. Fernando wyszukał dla mnie jakieś dwa obiekty i chce mi je jutro pokazać.

Sally zauważyła z zadowoleniem, że Robert zmarkotniał. Nie był zbudowany faktem, że wtajemniczyła Fernanda, a nie zwróciła się do niego. Dopiero po chwili opanował się.

- Oczywiście, proszę obejrzeć sobie te domy. Ale proszę mi obiecać, że nic pani nie podpisze, dopóki nie sprawdzą tego moi prawnicy.

- Ja też bym pani tak radził - poparł go John. - Jest pani przecież w obcym kraju.

- Dobrze, zrobię tak - zapewniła ich Sally. - Tak czy owak chcę sobie zostawić trochę czasu. Takich spraw nie można załatwiać na tempo.

- Niech pani ma się na baczności przed sprytnymi sztuczkami - ostrzegł ją Robert. - I niech się pani nie da nakłonić do zbyt szybkiej decyzji. Nawet wtedy, gdy okazja do kupna wydaje się korzystna i właściwie należałoby z niej natychmiast skorzystać. A co powiecie państwo na jeszcze jedną rundkę likieru? - spytał Robert.

- Nie, dziękuję bardzo - odmówiła Judy.

- Idziemy na dyskotekę - powiedział John. - Nie macie państwo ochoty pójść z nami?

Robert spojrzał pytająco na Sally.

- Nie, dziękuję. Dla mnie jest już trochę za późno.

John nie obstawał przy zaproszeniu. Było jasne, że we dwójkę z Judy też będą dobrze się bawić. W świetnych humorach odeszli od stolika.

- Teraz musi się pani zadowolić moim towarzystwem - powiedział Robert, gdy zostali sami.

- Nie jest ono znowu takie złe - odpowiedziała z uśmiechem. - Gdyby nie to, że czyta pan nudne książki, byłby pan zupełnie w porządku.

- Nudne? Myślałem zawsze, że do dobrego tonu należy czytanie Prousta.

Sally zaśmiała się. - Możliwe. Wiele osób jest zdania, że książka, którą się ciężko czyta, jest automatycznie dobra.

- Nie lubi pani Prousta?

- Jest taki dziwny. Pisze zbyt skomplikowanie. Najpierw pokazuje czytelnikowi, że jakaś postać jest sympatyczna po to tylko, żeby po chwili stwierdzić, że tak naprawdę to ma czarny charakter.

- Samo życie - stwierdził Robert. - Całymi latami można człowieka źle osądzać, aż się któregoś dnia zmieni zdanie.

- Tak może być w prawdziwym życiu, ale w powieści zupełnie mi to nie odpowiada. W książkach powinni być dobrzy i źli. Lubię wiedzieć, o co chodzi.

- Jakie to powierzchowne!

- Przykro mi - powiedziała z udawaną powagą. - Teraz jest pan pewnie bardzo złego zdania o mnie. Już lepiej było powiedzieć, że najchętniej oglądam westerny.

Oczy Roberta nagle rozbliły się. - Wreszcie zaczyna pani mówić rozsądnie. Ja też lubię westerny.

- Przeczuwałam to!

- Jak jakiś western będzie szedł w tutejszym kinie, to pójdziemy razem. Obiecujecie mi pani?

- Dobrze. Ale teraz idę spać - powiedziała Sally wstając.

- Dobranoc, Sally - głos Roberta był ciepły i serdeczny.

Gdy dziewczyna wróciła do pokoju, znowu zrobiło się jej żal, że tak szybko się z nim pożegnała. To prawda, że jutro musi wstąpić, ale nie to było prawdziwą przyczyną. Był to raczej rodzaj ucieczki. Ale przed czym? Sama właściwie nie wiedziała.

Instynktownie przeczuwała, że musi być ostrożna. Robert był mężczyzną, o jakim zawsze marzyła. Dlatego też nie mogła sobie pozwolić na najmniejszy błąd, nie mogła działać pochopnie, żeby go nie stracić. Nigdy by sobie tego nie darowała. Po raz pierwszy w życiu Sally bardzo bała się, żeby się nie rozczarować.

Następnego ranka morze było spokojne i gładkie jak lustro. Powietrze nawet nie drgało. Tego przedpołudnia nikt nie zgłosił się na narty wodne, a przy tak bezwietrznej pogodzie nie można było nawet marzyć o żaglach. Sally położyła się wygodnie pod kolorowym parasolem i rozkoszowała się spokojnym dniem.

José i Facundo nie pojawili się. Sally miała z nimi na pieńku, bo znowu nie uzupełnili paliwa w motorówce. W baku nie było ani kropli.

Leniwie obserwowała ruch na plaży. Żałowała, że nie wzięła z sobą żadnej książki. Po chwili przymknęła oczy i zapadła w drzemkę.

Obudziły ją podenerwowane głosy. Popatrzyła na zegarek - spała około dwudziestu minut. José i Facundo nie przyszli. Szybko zorientowała się, co ją przebudziło. Niedaleko od niej utworzyło się zbiegowisko i goście zdenerwowani pokazywali coś na wodzie. Zaniepokojona Sally podeszła do nich.

- Co się stało?

Jakaś kobieta pokazała jej ciemny punkt w oddali.

- Proszę popatrzeć, tam ktoś płynie!

Sally zmrużyła oczy. Gołym okiem trudno było rozróżnić, czy to czyjaś głowa, czy pusty kanister po benzynie. Wyczuwała jednak instynktownie, że coś jest nie w porządku. Była przekonana, że ktoś jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Był chyba w okolicy tego zdraдлиwego prądu, o którym mówił Robert.

Sally pobiegła do torby, w której miała małą lornetkę. Wyjęła ją szybko z etui i podniosła do oczu.

Tak! Tam był człowiek! Czy on jeszcze żyje? Nagle dziewczyna zauważyła, że nad wody podniosła się ręka i słabo zamachała.

Coś trzeba zrobić! Szybko! Nikt nie jest w stanie przewidzieć, jak długo ten człowiek będzie miał na tyle siły, żeby utrzymać się na wodzie. Liczyła się każda sekunda. Sally wiedziała aż nadto dobrze, jak szybko człowiek tonie.

Rozejrzała się szukając pomocy. Nadal ani śladu José i Facundo. Motorówka bez paliwa stała na plaży, a użycie żaglówki odpadało zupełnie przy tej bezwietrznej pogodzie. Jak pomóc temu człowiekowi?

- Niech pani szybko biegnie do hotelu - zawołała do jakiejś kobiety - żeby natychmiast zawiadomili ratownika z Cala Ratjada. Proszę powiedzieć, co się stało. Niech wyślą łódź z portu.

Kobieta wykonała polecenie.

Sally pognęła do bezużytecznej motorówki i wyjęła dwie kamizelki ratunkowe. Chwyła jedną z desek surfingowych i wbiegła do wody. Położyła się na desce i zaczęła wiosłować z całych sił. Zastanawiała się, czy tonący ma szansę na uratowanie się. Czy ratownik wyśle w ogóle łódź? Znając mentalność południowców nie można było mieć żadnej pewności.

Dziewczyna dopłynęła do cypla i poczuła, że prąd ciągnie ją w bok. Z dużym wysiłkiem udało się jej utrzymać kierunek na ciemny punkt na wodzie. Gdy była już w zasięgu wzroku tonącego, zatrzymała się na moment i założyła kamizelkę ratunkową. Kto wie, czy nie dojdzie do jakiejś walki. Niektórzy ludzie w śmiertelnym niebezpieczeństwie zachowują się całkiem spokojnie i wykonują polecenia, inni natomiast zupełnie niekontrolowanie biją ze strachu rękami.

Sally wiosłowała dalej. Była kilka metrów od bezradnie kręcącego się człowieka i zobaczyła, że to Mr. Edwards. Na całe szczęście zachowywał się spokojnie.

- Proszę się nie bać - zawołała. - Zaraz panu pomogę. Proszę założyć kamizelkę i spróbować podплыnąć do mnie na deskę. Na pewno zaraz nas wyłowią.

- Ten przeklęty prąd! - wysapał mężczyzna. - Powinno być jakieś ostrzeżenie!

- Jest tablica ostrzegawcza. Nawet bardzo duża - powiedziała spokojnie Sally i pomogła panu Edwardsowi usiąść na desce surfingowej.

- Nie widziałem żadnej. Zaraz się poskarżę, niech tylko dotrę do hotelu. - Pomimo, że był zmęczony i prawie bez tchu, to i tak dawał upust swemu niezadowoleniu.

Sally czuła, jak opada z niej napięcie. Nagle zachciało jej się śmiać.

- Naprawdę nie wiem, co w tym śmiesznego, że omal się nie utopiłem - zawołał Mr. Edwards z oburzeniem.

- Proszę się mocno trzymać! - zawołała opanowując się. - Lada moment powinna tu być łódź, żeby nas zabrać.

I rzeczywiście. Po kilku minutach zobaczyli zbliżającą się do nich od strony portu łódź rybacką.

Dwóch rybaków hiszpańskich wypłynęło natychmiast z portu na wieść o tym, co się stało. Nie pytając o nic, pomogli wejść Sally i panu Edwardsowi do łodzi. Dziewczynie zrobiło się nagle wstyd, że miała wątpliwości co do ofiarności południowców.

Gdy znaleźli się w hotelu, pan Edwards poszedł odpocząć do swojego pokoju. Sally jeszcze na moment zeszła na plażę. To wszystko stało się tak szybko, że nie mogła pozbyć się wrażenia, że jej się tylko śniło.

Dopiero koło dwunastej przypomniała sobie, że jest umówiona z Fernandem. Szybko wskoczyła w spodnie i założyła bluzkę.

W hallu spotkała Johna.

- Halo Sally - przywitał ją. - Idzie pani oglądać te domy?

- Tak. - Sally była zaskoczona, że jeszcze o tym pamiętał.

- Życzę szczęścia - powiedział John z tajemniczym uśmiechem. - I do zobaczenia.

Fernando przytrzymał jej drzwiczki od mercedesa.

- Dzisiaj będę mógł pokazać pani tylko jeden dom - powiedział wsiadając do wozu. - Ten drugi, o którym mówiłem wczoraj, jest już niestety sprzedany. Poszedł dzisiaj przed południem.

- Tak szybko? - zdziwiła się dziewczyna.

- Tak to już jest w interesach. Najpiękniejsze domy sprzedaje się szybko, stąd konieczność szybkiego reagowania. Starych domów jest coraz mniej i idą w cenę, ponieważ są poszukiwane. Dom, do którego teraz jedziemy, ma bardzo korzystną cenę. Właścicielka jest od lat zaprzyjaźniona z moją rodziną i prosiła mnie o uregulowanie tej sprawy. To bardzo miła starsza pani, mieszkająca teraz w Barcelonie.

- Już nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę - cieszyła się Sally.

Przypadkowo spojrzała w lusterko i zauważyła biały samochód jadący za nimi. Zupełnie przypominał auto Roberta.

- Mam nadzieję, że nie zakocha się pani od razu w tym domku - ciągnął dalej Fernando. - Są też inni chętni poważnie nim zainteresowani. Pan Dittersdorf chce przyjść do mnie już dzisiaj po południu, żeby podpisać umowę.

Wspaniałą drogą przez zielony las piniowy dojechali do uroczego i bardzo romantycznie położonego domku. Był bielony wapnem i otoczony pięknym ogródkiem kwiatowym. Do plaży było najwyżej sto metrów, a w zasięgu wzroku nie było żadnego innego domu.

- Boski! - Sally była oczarowana.

- To prawda. Tego samego zdania byli wszyscy, którzy go widzieli. Pan Dittersdorf jest skłonny zapłacić nawet znacznie powyżej ceny. Za dwanaście tysięcy dolarów na pewno nie znajdzie pani nic piękniejszego na Majorce. Ale przypuszczam, że chciałaby pani zobaczyć też inne domy.

Wysiedli z samochodu i weszli do środka. Były tam trzy sypialnie, dwie łazienki, wszystko bardzo miło urządzone.

- Niesamowite, że to kosztuje jedynie dwanaście tysięcy - powiedziała Sally, gdy skończyli obchód.

Fernando wzruszył ramionami. - Niech pani nie robi sobie zbyt wielkich nadziei. Mówiłem, że dziś po południu... - zaczął nagle nasłuchiwać. Przed dom podjechał jakiś samochód. - Kto to może być - Fernando wyglądał na zmartwionego.

Wyszli przed dom zobaczyć, kto przyjechał. Ku wielkiemu zaskoczeniu Sally przy wejściu stało dwóch umundurowanych policjantów. Skierowali karabiny na Fernanda i dziewczynę.

- *Arriba los manos!* - zawołał jeden z nich.

Sally zrozumiała, co chciał i przestraszona podniosła ręce w górę.

- Nie, pani nie - usłyszała nagle głos Johna Nugenta. - Tylko señor Fernando.

Sally patrzyła z przerażeniem, jak policjanci zabierają Fernanda i jego szofera i odprowadzają ze związanymi rękami.

- Proszę pozwolić, Sally. Wszystko pani wytłumaczę - powiedział John.

Bezwolnie poszła za nim na podwórze, gdzie zaparkowany był samochód Roberta.

- Nie jestem na Majorce na wakacjach - powiedział Anglik z przepraszającym uśmiechem. - Ten Fernando to oszust. Sprzedaje domy, które do niego nie należą,

ewentualnie które wcale nie są na sprzedaż. Kilku moich klientów oszukał na olbrzymie sumy i dlatego proszono mnie, bym się tym zajął. Teraz, gdy go już mamy, może uda się odzyskać te pieniądze.

- W jaki sposób pan go nakrył? - spytała Sally, która nie mogła pojąć tego wszystkiego.

- Był na tyle beztroski, że w Marabelli ten sam dom sprzedał kilka razy. Dwa małżeństwa pojechały w tym samym czasie do swego nowo kupionego domu i zdziwiły się, że tam już ktoś jest.

- A ta willa z personelem? - Sally nie mogła wyjść ze zdziwienia.

- Wynajęta. A służba to po prostu jego wspólnicy. W tym momencie przed domem zatrzymała się taksówka, z której wysiadł Robert.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Chyba tak. Policja go zabrała. Dziękuję za pożyczenie samochodu.

- W porządku. A pani? Mam nadzieję, że nic pani nie podpisała.

- Oczywiście, że nie. Przecież mnie pan ostrzegął.

Policjanci wpychali właśnie związanego Fernanda do jeepa.

- Muszę pojechać z nimi - przeprosił John. - Trzeba będzie spisać protokół. Ale do kolacji na pewno wrócę. Będzie pan mógł przekazać to Judy? Nie chciałbym, żeby się martwiła.

- Oczywiście - zapewnił go Robert. - A Sally zabiorę do mojego samochodu.

Czekali we dwójkę, aż odjedzie policja.

- Do kogo właściwie należy ten domek? - spytała Sally.

- Do starszej pani z Barcelony.

- Biedny Fernando. Taki był zawsze miły.

- Zależy. Ogołacał starszych ludzi z ich oszczędności. Ale dziękuję pani bardzo za odważną akcję dzisiaj rano.

- Już pan o tym słyszał?

- Tak. Mr. Edwards jest szefem Brytyjskiego Towarzystwa Turystycznego. Dobrze, że mu się nic nie stało. Ma zamiar napisać jakiś hymn pochwalny o naszym hotelu. Gdyby nie pani, to...

Byli zupełnie sami w pięknym ogrodzie. Wiatr cicho szumiał w gałęziach drzew.

Sally i Robert milcząc popatrzyli sobie w oczy. Nagle znalazła się w jego ramionach. Bez śladu zniknęły wszelkie wątpliwości minionych tygodni. Namiętnie objęła ukochanego mężczyznę. Jak bardzo tęskniła za taką chwilą!

- Sally! - Robert popatrzył na nią czule. - Tak bardzo cię potrzebuję. Kocham cię, bez ciebie jestem tylko połową człowieka. Wiem, że już nie mogę żyć bez ciebie.

- Ja też nie - szeptała Sally bez tchu. - Już nigdy nie możemy się rozdzielać. Kocham cię.

Ich usta spotkały się w długim pocałunku.

- Chciałbym, żebyśmy pobrali się wkrótce. Już przy naszym pierwszym spotkaniu wiedziałem, że jesteś tą kobietą, której tak długo szukałem. Musimy wszystko spokojnie omówić. Czy tym razem przyjdiesz do mnie?

Popatrzyła na niego z miłością, potem przytuliła się do niego.

- Robercie, jestem taka szczęśliwa.

Przycisnął ją namiętnie do siebie i pokrył jej twarz pocałunkami.

- Chodź kochanie - powiedział po chwili.

Sally uśmiechnęła się szczęśliwa. Robert nie puścił jej ręki, gdy szli do samochodu.

W drodze do hotelu nie odzywali się ani słowem. Wiedzieli, że od dzisiaj należą do siebie i nic ich już nie rozłączy.

